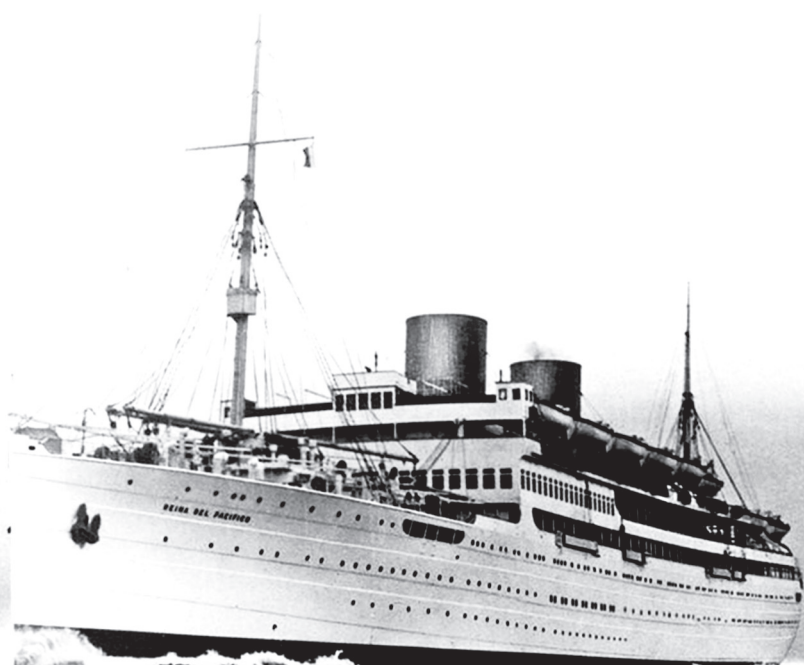


# NA FALI HISTORII

WSPOMNIENIA  
POLAKÓW W CHILE





NA FALI HISTORII





# NA FALI HISTORII

## Wspomnienia Polaków w Chile

Tekst i opracowanie: Aleksandra Pluta

Ambasada RP w Chile

Podziękowania dla Henryka Kaczora, Jerzego Jannasza, Raula Małachowskiego, Jerzego Dziekońskiego, Michała Kurasza, Dawida Fajerszteina i Marii Dziekońskiej za udostępnienie i zgodę na publikację zdjęć i dokumentów z ich prywatnych archiwów.

## Siła mowy

*„Co jest nie wymówione, zmierza do nieistnienia”: to zdumiewające myśleć o mnóstwie wydarzeń dwudziestego wieku i o ludziach tam występujących, rozumiejąc, że każda z tych sytuacji zasługiwała na epos, tragedię albo liryczny poemat. I nic, zapadły się, zostawiając nikły ślad. Można rzec, że najbardziej nawet potężna, krwista, czynna osobowość w porównaniu z celnym układem kilku słów, choćby opisywały tylko wschodzący księżyc, jest zaledwie cieniem.*

(Czesław Miłosz, *Piesek przydrożny*)



Niniejszy zbiór wspomnień jest przykładem zapisu historii mówionej, której korzenie sięgają epoki starożytnej. Już Herodot z Halikarnasu pisał w II księdze swoich „Dziejów”: *Moim zadaniem w całym tym dziele jest, żeby opowiedziane przez wszystkich szczegóły tak spisać, jak je słyszałem.* Słowo od samego początku było opowiadane, zapamiętywane i przekazywane, a dopiero znacznie później zaczęło być spisane.

W XX wieku historia mówiona znalazła swoje miejsce w naukach humanistycznych i społecznych, których badacze dostrzegli znaczenie opowieści snuty przez zwykłych ludzi oraz ich życia codziennego.

Każdy człowiek nosi w sobie fascynującą historię – niepowtarzalny bagaż przeżyć. Wspomnienia, emocje i doświadczenia każdej z postaci występujących w niniejszym zbiorze, podlegają jednak złośliwości pamięci. Niektóre daty, nazwiska, miejsca i fakty pojawiające się w tej publikacji mogą być niedokładne. Taka jest natura wspomnień: przeszłość zaczyna żyć własnym życiem, a pewnym momentom dodaje się, mniej lub bardziej świadomie, żywszego koloru-

tu. Należy wziąć pod uwagę, że niektóre z przytoczonych epizodów wydarzyły się niekiedy nawet osiemdziesiąt lat temu. Każda z przedstawionych tu opowieści jest indywidualnym świadectwem, śladem czasu, który bezpowrotnie minął, lecz wciąż żyje we wspomnieniach. Taka wersja historii ma bardziej ludzki wymiar, niż ta przedstawiana w podręcznikach.

Publikacja ta jest owocem wielu niezwykłych spotkań, które miały miejsce na przełomie października i listopada 2009 roku. Osoby, które zgodziły się opowiedzieć swoje historie, są przedstawicielami powojennej emigracji polskiej w Chile oraz naocznymi świadkami tragicznych dziejów Polski ubiegłego wieku. Niektórzy z nich byli więźniami obozów koncentracyjnych (Raul Małachowski, Dawid Fajersztejn), obozów przymusowej pracy (Michał Kurasz), uczestnikami Powstania Warszawskiego (Jerzy Dziekoński, Ewa Odachowska, Dawid Fajersztejn), żołnierzami należącymi do Armii Polskiej stworzonej przez generała Andersa (Raul Małachowski, Jerzy Dziekoński, Mirosław Dziekoński – ojciec Marii Dziekońskiej), ochotnikami walczącymi w Królewskich Siłach Lotniczych (Jerzy Jannasz). Innym udało się uciec z Polski w obawie przed Holocaustem (Henryk Kaczor, Józef Hosiasson).

Ich opowieści często skupiają się na wspomnieniach z okresu wojny. Są to wspomnienia niekiedy bardzo bolesne, lecz prawdziwe. Ich największą wartością jest przede wszystkim subiektywizm: osobiste spojrzenie na pewien temat, a nie obiektywny, „oficjalny” obraz rzeczywistości. Z tego powodu starano się nie ingerować w styl wypowiedzi, zachowując pewne kolokwialne zwroty w relacjach rozmówców.

Uzyskany materiał miał początkowo formę wywiadów. Niektóre z nich przedłużały się w wielogodzinne spo-

tkania, wspólne obiadowanie, poszukiwania starych zdjęć i pożółkłych dokumentów. Wiele osób wyciągnęło ze strychu zakurzone pudła z pamiątkami po przodkach, medalami, zdjęciami i listami. Każde spotkanie było fascynującą przygodą, a każda z opowiedzianych historii zasługuje na to, by ją spisać i przekazać dalej, wedle słów „*Co jest nie wymówione, zmierza do nieistnienia*”.

## HENRYK KACZOR

Henryk Kaczor urodził się 23 kwietnia 1911 roku w Warszawie. Syn Izaaka Kaczora i Felicji Kaczor. Do Chile dopłynął z Japonii statkiem „Rakuya Maru”, który w drodze powrotnej został zbombardowany przez Amerykanów. Mieszka w Chile od 1940 roku.





## HENRYK KACZOR

*Henryk Kaczor jest prawdopodobnie najstarszym Polakiem mieszkającym w Chile. Z dumą opowiada o swoim dziadku, który brał udział w Powstaniu Listopadowym i jeszcze w wieku stu dwudziestu lat chodził wyprostowany jak generał. Z nostalgią wspomina czasy Śmigłego-Rydza i przedwojenną Warszawę, którą opuścił przed pierwszym bombardowaniem w 1939 roku. Z błyskiem w oczach snuje plany na przyszłość: – Kiedy tylko będę się lepiej czuł, polecę do Polski, żeby zobaczyć grób mamusi i odnaleźć moją rodzinę.*

### **Warszawa**

Mam 98 lat i bardzo dobrą pamięć. Urodziłem się w Warszawie. Mój ojciec nazywał się Izaak Kaczor i miał wielką hodowlę gęsi, które sprzedawał do Niemiec i Anglii. Mama miała na imię Felicja i umarła, kiedy miałem szesnaście lat. Jestem najstarszy z trojga rodzeństwa. Miałem dwie młodsze siostry: Irenkę i Gienię. Irena skończyła prawo na Uniwersytecie Warszawskim, otrzymała dyplom i już miała zacząć pracować, kiedy wybuchła wojna. Jej mąż, Jerzy Warszawski, był inżynierem, doskonale grał w brydża. Miał w Łodzi fabrykę butów. Kiedy umarła moja mama, ojciec powiedział mi, żebym zaczął się uczyć w technikum elektrycznym, by mieć zapewniony na przyszłość jakiś zawód. Tam uczyłem się cztery lata. Kiedy miałem dwadzieścia lat, poszedłem odbyć służbę wojskową w 76. pułku w Grodnie. Pamiętam, że któregoś dnia podczas ćwiczeń musieliśmy udawać, że złapaliśmy wroga. Ja zostałem wyznaczony na

dowódcę i wsadziłem do niewoli Rydza-Śmigłego. On był do tego stopnia zdziwiony, że tak dobrze mi poszło podczas tych ćwiczeń, że nagroził mnie w szczególnie sposób, nazywając mi na mundur pierwszą odznakę. Po odbyciu służby wojskowej wróciłem do Warszawy, gdzie zacząłem pracować w firmie importującej surowiec dla przemysłu drzewnego z Niemiec, Japonii i Stanów Zjednoczonych.

## **Pierwsze bombardowanie**

Kiedy wybuchła wojna, powiedziałem mojej rodzinie, że muszę się zgłosić do wojska w Grodnie, żeby walczyć przeciwko Niemcom. Moja siostra Irena i jej mąż Jerzyk postanowili pojechać ze mną, ponieważ bali się zostać w Warszawie. Pojechalśmy na moim motocyklu, który był dla trzech osób, z małą przyczepką z boku, w której wygodnie siedziała Irena. Moja druga siostra, Gienia, miała dziecko i została w Warszawie razem z moim ojcem.

Jechaliśmy cały dzień i całą noc. Nad ranem następnego dnia dojechalśmy do Ostrowa Mazowieckiego, gdzie moja siostra poprosiła, żebyśmy się zatrzymali w jakimś hotelu na krótki odpoczynek. Ja nie chciałem, bo zaczęły się już bombardowania, na niebie widać było mnóstwo niemieckich samolotów. Ale ponieważ Irena nalegała, a mój szwagier też nie chciał zrobić jej przykrości, zatrzymaliśmy się w hotelu. Ja spałem na trzecim piętrze. Nagle usłyszałem wielki hałas – hotel został zbombardowany przez niemieckie samoloty. W jednej chwili z trzeciego piętra spadłem do piwnicy, przywalony gruzem i deskami. Wokół wszystko płonęło. Leżałem tam parę godzin, nikt mnie nie ratował, nie mogłem się ruszać. Kiedy tak leżałem wśród gruzów, myślałem sobie: *Boże drogi, nikt nie może mnie uratować, bo nikt nie wie, że tu jestem.* Widziałem tylko zbliżający się język ognia i takie myśli przebiegały mi przez głowę: *Jasne jest, że umrę, ale*

*dlaczego mam umrzeć spalony?* Po jakimś czasie ktoś wsunął głowę przez takie małe okienko, pytając czy nikogo tam nie ma. Zacząłem więc krzyczeć: – *Pomocy, ja tu jestem!* I cudem mnie stamtąd wyciągnęli.

Irena też była w hotelu podczas bombardowania. Przeżyła, tak jak i ja przeżyłem. Potem zaczęliśmy szukać mego szwagra, który gdzieś się zagubił i tak minął cały dzień. W tym czasie całe miasteczko zaczęło się palić. Straciłem mój motocykl, wszystkie dokumenty, pieniądze, zdjęcia. Nie zostało mi dosłownie nic. Każdy mógł mnie rozstrzelać za brak dowodu osobistego: Polacy, Niemcy, Rosjanie. W pierwszych dniach wojny zostałem bez niczego. Ale nadal chciałem dojechać do Grodna.

## **Drugie bombardowanie**

Pociągi jeszcze wtedy jeździły, więc wsiedliśmy do jednego z nich, by pojechać do Grodna. Po jednej nocy w pociągu, nad ranem, wysiedliśmy na jakiejś małej stacji kolejowej przed Białymstokiem, ponieważ zacząłem się domyślać, że dalsza podróż byłaby niebezpieczna.

Jeszcze było daleko do Grodna. Kiedy oddalaliśmy się od stacji, zniemacka nadleciały niemieckie samoloty i pociąg, w którym jeszcze parę minut wcześniej siedzieliśmy, został całkowicie zbombardowany. To było raptem sześć albo siedem wagonów, niewielki pociąg, ale wszyscy, którzy nim jechali, zginęli. My widzieliśmy tylko ogień i kłęby dymu unoszące się w powietrzu.

Stamtąd doszliśmy do Białegostoku chyba piechotą, już nie pamiętam. Tam mieliśmy szczęście, ponieważ siostra mego szwagra wyszła za mąż za burmistrza miasta i przyjęła nas u siebie w domu. To były piękne i eleganckie apartamenty. Kiedy kilka dni później wkroczyli Rosjanie do Białegostoku, oczywiście zabrali im cały ten dobytek, a burmistrza

wzięli do niewoli. Ja nadal chciałem dostać się do Grodna, żeby zgłosić się do pułku. Trasa pociągów była następująca: Białystok – Grodno – Wilno. Była już druga połowa września 1939 roku. Kiedy Rosjanie weszli do Polski, uciekłem z Białegostoku i pojechałem pociągiem nie do Grodna, tylko aż do Wilna, gdzie zostałem parę miesięcy. Irena w międzyczasie wróciła do Warszawy, żeby zabrać ze sobą siostrę i mego ojca, ale ojciec nie chciał opuścić domu, a siostra nie mogła, ponieważ miała dziecko. Zostali w Warszawie i na pewno podczas wojny ich zabili.

### **Przystanek: Wilno**

Potem czekałem na Irenę i Jerzego na przejściu granicznym... Nawet pamiętam, że posłałem jakiegoś gońca, żeby im pomógł przekroczyć granicę, ponieważ było to dosyć skomplikowane. Po jednej stronie pilnowali Niemcy, a po drugiej Rosjanie. Czekałem na nich w jakimś domu na wsi, do którego przyjechała mnie pewna wiejska rodzina. Miałem pozamarzane nogi, prawie nie mogłem nimi ruszać. W ogóle ich nie czułem, były zupełnie martwe. I ta wiejska kobieta wyleczyła mnie, nacierając moje zamrożone nogi śniegiem. To mnie uratowało, w przeciwnym razie musieliby mi je amputować. Kiedy w końcu mojej siostrze i szwagrowi udało się przekroczyć granicę, pojechaliliśmy razem do Wilna. Tam zacząłem się zastanawiać, dokąd możemy uciec.

W Wilnie był konsul Japonii. Któregoś dnia poznaliśmy konsula, który dawał każdemu Polakowi wizy do Japonii. Japonia była w konflikcie z Rosją, a ponieważ Polska również była jej wrogiem, Japończycy dawali bez problemu swoje wizey każdemu Polakowi. Dostaliśmy trzy wizey: dla mojej siostry, mojego szwagra i dla mnie. Pojechaliliśmy pociągiem do Władystoku. Podróż trwała tydzień. Kiedy przejeżdżaliśmy przez Syberię, byłem już tak zmęczony podróżą,

że na którejś stacji postanowiłem na chwilę wysiąść, żeby rozprostować nogi. Kiedy wysiadłem, zobaczyłem kobiety, Rosjanki, opatulone w kożuchy i chusty, które prawie całkowicie zakrywały im twarze. Widać było tylko ich małe oczka, które wychylały się przez drobne szczeliny materiału. Pamiętam, że było jakieś czterdzieści stopni poniżej zera. Kobiety te rozłupywały lód, który pokrywał tory i koła pociągu i polewały je oliwą. Wszystko było całkowicie zamrożnięte.

## **Przystanek: Japonia**

Po tygodniu dojechaliśmy do Władywostoku i tam wsiedliśmy na statek do Japonii. Statkiem tym przewożono krowy i mięso do Japonii. Po tygodniu podróży, podczas której spaliśmy na słomie, na miejscu krów, dopłynęliśmy do Kobe w Japonii. Tam spędziliśmy kilka tygodni. Z początku nie mogłem tam nic jeść, bo Japończycy jedli tylko to, co się ruszało: żaby, karaluchy... więc ja piłem tylko kawę, herbatę i jadłem taki chrupiący chleb z kukurydzy.

W Japonii przyjęła nas gmina żydowska, dali nam pokój w jakimś domu. Drugiego dnia wyszedłem, żeby zobaczyć okolicę, zgubiłem się i zapomniałem, gdzie mieszkam. Na rogu stała budka policyjna, więc zbliżyłem się do policjanta i zapytałem go po niemiecku, jak mam wrócić. Spytał się gdzie mieszkam, więc mu odpowiedziałem, że nie wiem, bo jeszcze nie znałem na pamięć mojego adresu. Powiedziałem mu tylko, że wyszedłem na spacer i się zgubiłem. On wziął do ręki jakąś książkę i spytał, jakim statkiem przy płynąłem. Poszperał w niej, zapytał się jeszcze o moje imię i nazwisko, znowu poprzeczował parę kartek i znalazł adres, gdzie mieszkalem. Proszę sobie wyobrazić, że policja japońska wiedziała, kiedy przyjechałem i gdzie byłem zameldowany.

Mój szwagier grywał w brydża, dzięki temu w jakimkolwiek miejscu na świecie by się nie znalazł, zawsze zjed-

nywał sobie wielu ludzi. Któregoś dnia jednym z kompanów do brydża Jerzyka okazał się konsul chilijski w Japonii. On nas przekonał, żebyśmy pojechali do Chile. Otrzymaliśmy od niego trzy wizy do Chile, jednak nie wiedzieć czemu, wizy te nie były zalegalizowane przez rząd chilijski, w związku z tym okazały się zupełnie nieważne. On sam nas o tym uprzedził. Poza tym w pierwszym bombardowaniu w Ostrowie Mazowieckim straciłem wszelkie dokumenty, nie miałem paszportu ani dowodu osobistego, więc tym bardziej wiza wbita w paszport tymczasowy była nie do przyjęcia w urzędzie imigracyjnym.

### **Na nielegalnych papierach**

Moja siostra ze szwagrem mieli pieniądze na bilet do Chile. Ja nie miałem ani grosza, dlatego napisałem do mojej kuzynki, która miała męża Austriaka, przedstawiciela jakiejś dużej niemieckiej firmy w Warszawie. Zwróciłem się do nich z prośbą o przesłanie mi pieniędzy na bilet. W krótkim czasie nadeszła odpowiedź wraz z pieniędzmi.

Statek nazywał się „Rakuya Maru”. Był to duży turystyczny statek, którym podróżowali głównie Japończycy, ale było też jedno małżeństwo rosyjskie i pewien Meksykanin, który mnie oszukał. Wsiadłem na pokład z pięcioma dolarami, ale i te parę dolarów straciłem, bo mu je pożyczyłem. Obiecał mi, że jak tylko dopłyniemy do portu w Meksyku, to mi je odda. Lecz kiedy tam dopłynęliśmy, kolega przysł i nigdy więcej na oczy go nie widziałem. Dałem mu się po prostu oszukać.

Statek zatrzymał się również w Panamie, gdzie próbowaliśmy wysiąść. Japoński kapitan statku dał nam jakieś koperty z pozwoleniem opuszczenia pokładu, jednak policja panamska odesłała nas z powrotem. Ten japoński kapitan był dla nas bardzo serdeczny i dużo nam pomógł. Znał naszą

sytuację, wiedział, co przeszliśmy...

Przy płynęliśmy w końcu do portu w mieście Arica na północy Chile. Tam też nie bardzo chcieli nas wpuścić, ale nasz japoński kapitan zaprosił chilijskich urzędników na jakieś trunki, a potem, kiedy byli już nieco pijani, pomógł im podstemplować nasze dokumenty. W międzyczasie mrugał do nas porozumiewawczo, żebyśmy jak najszybciej wysiedli ze statku i opuścili port. Następnego dnia tym samym statkiem dopłynęliśmy do Valparaiso, gdzie czekał na nas brat tego konsula chilijskiego z Japonii, który obiecał nam pomoc w pierwszych dniach, ponieważ nie znaleźmy języka hiszpańskiego.

Kiedy dotarliśmy do Santiago musieliśmy się zgłosić na policję z tymi naszymi nieważnymi wizami. Przyjęła nas młoda chilijska policjantka, której widocznie musiałem się spodobać. Popatrzyła na mojego szwagra, zobaczyła, że był żonaty i powiedziała mu:

– *Proszę pana, ależ pana wiza jest nieważna!*

Wtedy ja też pokazałem jej swoją wizę, na co ona odrzekła:

– *Pana wiza jest w porządku.*

Wówczas mój szwagier się rozżłóścił:

– *Ale jak to? Przecież mamy identyczne wizy! Dlaczego moja wiza jest nieważna, a wiza brata mojej żony tak?*

Na co ona się tylko uśmiechnęła i powiedziała:

– *Bo pan już jest żonaty, a pan Kaczor taki ładny, młody i w dodatku kawaler!*

## **Trzecie bombardowanie**

Minęło kilka dni, odkąd przyjechaliśmy do Chile, kiedy usłyszałem, że w drodze powrotnej do Japonii statek „Rakuya Maru” został zbombardowany przez Amerykanów. To była dla mnie bardzo smutna wiadomość.

Szybko znalazłem pracę w Santiago, ponieważ już



w Polsce miałem firmę importową, więc odnowiłem kontakty z zagranicznymi firmami i już w kilka miesięcy później miałem pierwszy samochód. Zacząłem eksportować towar i poszło mi bardzo dobrze. Moja firma była tu bardzo znana, dużo pracowałem i nawet nie miałem czasu na życie towarzyskie. Zdarzało się, że pracowałem po dwadzieścia godzin dziennie.

W 1944 roku chciałem wrócić do Polski, żeby walczyć przeciwko Niemcom. Napisałem do konsula Mazurkiewicza list, w którym wyraziłem moją wolę powrotu do Polski. Proszę przeczytać:

*Santiago, 11 kwietnia 1944 rok  
J. W. Pan Minister Mazurkiewicz  
Hotel Carrera – Santiago*

*Jaśnie Wielmożny Panie Ministrze,  
W odpowiedzi na pismo J.W. Pana Ministra, co do moich zamiarów i zapatrywań na powrót do kraju, mam zaszczyt zakomunikować, co następuje.  
Jedynym i największym moim życzeniem jest jak najszybszy powrót do Wolnej i Wielkiej Demokratycznej Polski – Ojczyzny.  
Dziękując za zaszczytne zwrócenie się do mnie, przepraszam za zwłokę w odpowiedzi, ale będąc przez miesiąc na południu, nie byłem w stanie odpisać.  
Racz przyjąć Panie Ministrze wyrazy głębokiego szacunku*

*Z poważaniem  
Henryk Kaczor*

Ja chciałem pojechać do wojska, żeby brać udział w wojnie. Chciałem walczyć przeciwko Niemcom. Najpierw

przyszło pozwolenie, że mogę polecieć samolotem do Europy, ale po trzech dniach przyszedł kolejny telegram, w którym powiadamiano, że nie warto wysyłać kolejnych ludzi na wojnę, ponieważ koszty przelotu są bardzo drogie, a w Europie jest wystarczająca ilość żołnierzy. W ten sposób zostałem w Chile. Nigdy nie wróciłem więc do Polski, choć bardzo bym chciał. Jeśli zdrowie mi na to pozwoli, pojedę jeszcze do kraju. Chciałbym odwiedzić grób mojej matki, dowiedzieć się, co się stało z moim tatą i siostrą. Na pewno zabito ich podczas wojny...

Enrique Kaczor P.

HUERFANOS 1062 - OF. 42 - DIREC. para CORRESP. - FONOS 88284  
CLASIFICADOR 907

SANTIAGO 11 Kwieciana 1944 r.  
(CHILE)

J. W. Pau Minister

Mazurkiewicz  
Hotel Carrera  
Santiago.

do arch.  
w Inst. Kaczyński

Jasnie Wielmożny Panie Ministrze.

W odpowiedzi na pismo J. W. Paua  
Ministra co do moich zamiarów i zapotrzebowania  
na powrót do kraju, mam zaszczyt za-  
komunikować co następuje.

Jedynym i najinikszym moim życzeniem  
jest, jaknajwcześniejszy powrót do Holmwy i  
Wielkiej Demokratycznej Partii - Ojczyzny.

Udzielając za zaszczytne zwrocanie  
się o siebie, przeproszam za opóźnienie  
odpowiedzi, ale byłam przez miesiąc w  
Polsce, nie byłam w stanie odpisać.

Proszę przyjąć Panie Ministrze szczerą  
dziękującą szacunku

Z poważaniem

Henryk Kaczor

List Henryka Kaczora do Ministra Mazurkiewicza,  
Santiago 1944.



Zdjęcie z prywatnego archiwum Henryka Kaczora.



## EWA ODACHOWSKA

Ewa Odachowska urodziła się 1 sierpnia 1914 roku w Niedźwiadce. Córka Kazimierza Odachowskiego i Hanny Pohl. W Chile mieszka od 1949 roku. Matka Piotra Paleczka (1950). Lekarz ginekolog w szpitalach José Joaquín Aguirre i San Juan de Dios.



## EWA ODACHOWSKA

*Zielona furтка oddziela hałaśliwą dzielnicę Santiago od zacisznego i pełnego kwiatów ogrodu Ewy Odachowskiej. W głębi stoi pokryty bluszczem dom, który skrywa w półmroku imponującą bibliotekę polskich książek sprzed wielu dekad. To w tym ogrodzie latami odbywały się znane każdemu Polakowi „spotkania pod kasztanem”. Można się tu poczuć inaczej, trochę jak na letniku w Polsce, gdzie czas płynie wolniej. Siedząc przy stole, jemy ciasto i pijemy kawę w filiżankach jak z „Pana Tadeusza”, a naszej rozmowie towarzyszy wiosenny świergot ptaków<sup>1</sup>.*

Urodziłam się w 1914 roku w Niedźwiadce, która była majątkiem rodziny Domeyków. Urodził się tam sam Ignacy Domeyko. Już jako dziecko wyjechałam stamtąd i wychowałam się w Nowopolu.

Mojego tatusia, Kazimierza Odachowskiego, nie znałam, ponieważ zmarł, kiedy byłam bardzo mała. Mamusia zawsze była sama, nie wyszła nigdy drugi raz za mąż, mimo że owdowiała bardzo młodo. Była miła, ładna i nawet, powiedzmy, niebiedna – miała przecież majątek w Nowopolu. Wróciła tam, kiedy bolszewicy sobie poszli i sama podniosła majątek z ubóstwa. Pracowała w starostwie – była buchalterem – i za te pieniądze, które zarabiała, doprowadziła do porządku nasze Nowopole. To wszystko było zniszczone, a że ziemia nie była urodzajna, więc właściwie wszystko, co zarabiała, wkładała w ten majątek.

Potem mieszkaliśmy w Warszawie. Początkowe

---

<sup>1</sup>Niniejszy tekst został opracowany na podstawie rozmów oraz wspomnień Ewy Odachowskiej opublikowanych w jej książce: E. Odachowska, *Pamiętajcie, com wam mówiła...*, Stowarzyszenie Wspólnota Polska, Warszawa 2003.



nauki pobierałam w warszawskiej pensji hrabiny Cecylii Plater-Zyberkówny.

Pamiętam, że któregoś dnia, już po maturze, szłam Alejami Ujazdowskimi i zobaczyłam ogłoszenie „Szkola Szybowcowa” przy Lidze Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej. Miałam wprawdzie zamiar zrobić wcześniej patent żeglarsza, ale jak zobaczyłam, że można odbyć kurs na szybowce, to pomyślałam: – *Czemu tu nie spróbuję?* I zapisałam się, zupełnie przypadkiem. Kompletnie wpadłam w te szybowce. Dyrektorem był tam pan Różański, wróg kobiet, którego cudem udało mi się ominąć. On w ogóle nie chciał dopuszczać kobiet do samolotów. Ale jakoś udało mi się tam wejść – działałam, skakałam ze spadochronem... W szybkim tempie doszłam do szybowcowej kategorii „C”, a to już było o krok do kategorii „D”, czyli latania wyczynowego. W towarzystwie byłam jedyną kobietą.

Mama nie pozwoliła mi zapisać się na ten kurs, ale gwoli prawdy, to ja się nie bardzo mamy pytałam o zgodę. Byłam po maturze. Nie wiem, czy już miałam 21 lat, ale rządziłam się sama. Dostałam tylko taki telegram od mamy: *Po moim trupie zapiszesz się na kurs spadochronowy.*

Przed wojną pracowałam w biurze zajmującym się emigracją polskich rolników do Ameryki Południowej. A później wybuchła wojna i skończyła się moja młodość.

*1 września 1939 roku wezwał mnie do gabinetu mój szefi poufnym tonem oznajmił, że ma do mnie nieograniczone zaufanie i wobec tego, wraz z moją maszyną do pisania, przemieszczenie mnie do gmachu Rady Ministrów – do specjalnych zleceń, których pod przysięgą wierności ojczyźnie nie wolno mi nikomu zdradzić. Zlecenia miałam zachowywać w pamięci, ewentualnie robić niezbędne notatki własnym szyfrem, zrozumiałym tylko dla mnie, bo wróg czuwa i podsłuchuje.*

*Któregoś wieczoru zgłosiłam się na punkt organizacyjny patroli sanitarnych dla ludności cywilnej [...] Pierwszy nasz punkt opatrunkowy to mała szkółka na tyłach Powązek... Pogłoski o jakoby poparzonych iperytem... Wędrowki na skrót przez cmentarz... Groby pootwierane bombami... Pierwszy szok na widok tych szczątków ludzkich w rozmaitym stanie rozkładu wyrwanych z ich „wiecznego odpoczynku” [...] Nalot, obawa nowych bomb... i my, przycupnięte w jakimś na pół rozwalonym grobowcu [...] Zdawało się, że ci zmarli są wokół nas [...] i napętliają nasze serca dojrzałością i refleksjami niezrozumiałymi dla jeszcze wczoraj rozbrykanych i rozchichotanych kóz.*

Po kilku dniach patrol, w którym pracowałam został wcielony do 360. pułku piechoty, zreorganizowanego z jednostek, które cofały się spod Poznania.

*W rozwalonym mieście nie ocalała ani jedna szyba. Zima przyszła wczesna i sroga. W małej grupie przyjaciół (szkolna koleżanka z mężem, dziennikarzem, urzędnik bankowy i jeszcze ktoś z tzw. „inteligencji”) rzuciliśmy się w szklarski interes [...] Zainstalowaliśmy się blisko naszego domu na Nowym Świecie, w ruinach, gdzie ocalały trzy ściany i dach – rzecz zasadnicza, by uchronić się przynajmniej przed wiatrem i śniegiem. [...] Nauczyliśmy się nawet złodowaciami rękami przycinać mniejsze szyby.*

W chwili wrześniowej kapitulacji weszłam w szeregi walki podziemnej. Jak wiele innych kobiet byłam łączniczką, przenosiłam ustne polecenia, gazetki, czasem jakiś rewolwer czy naboje.

Osiem godzin pracy obowiązującej klasę robotniczą (od godziny 7:00 do 15:00) musiałam godzić z czterema go-

dzinami wykładów, kiedy w 1940 roku zorganizował się podziemny uniwersytet. Pod płaszczykiem Szkoły Masażu doktora Zaorskiego rozpoczęłam studia medyczne. Byłam już zapisana i przyjęta na Uniwersytet przed wybuchem wojny i na jesieni trzydziestego dziewiątego roku miałam rozpocząć pierwszy rok medycyny. Ale wojna pomieszała mi wszelkie plany. Choć i tak muszę przyznać, że poziom wykładów na podziemnym uniwersytecie był absolutnie uniwersytecki. Studia medyczne, rozpoczęte w okupowanej Warszawie, ukończyłam po wojnie w „Paderewski Hospital” w Edynburgu.

Jakie mam wspomnienia z Powstania Warszawskiego?

*Przyszli sąsiedzi z wyższego piętra, siedzimy zastuchani w odgłosy walki. Godziny mijają, a nam się zdaje to jedną chwilą. Zapada zmierzch. I oto z ulicy, poprzez strzały i wybuchy granatów, płynie śpiew, przytłumiony, a jednak pełen wyraźnej mocy:*

„Hej, kto Polak na bagnety!

Żyj swobodo, Polsko żyj!”

*Powstanie... Znów powstanie! Już nie lekcja historii, lecz nasze własne, rzeczywiste. Znów najdzielniejsi, najlepsi chwycili za broń... Tak, ale naszym pojedynczym strzałom odpowiada ciężka pancerna broń niemiecka. [...] Czepialiśmy się komunikatów podawanych przez radio przez naszą Główną Kwaterę. To tylko u nas jest ciężko – tłumaczyliśmy sobie – w innych dzielnicach zwyciężają. Zresztą zaraz przyjdzie armia sowiecka [...].”*

Z Warszawy po Powstaniu Warszawskim wywieziono mnie i mojego męża Marka do Niemiec na przymusowe roboty. Znajdowaliśmy się bardzo blisko Szwajcarii. Chodziłam prawie codziennie patrzeć na Ren, który był gra-

nicą między obozem przymusowej pracy a wolnością. Gdyby się nam tylko udało pokonać rzekę, byłibyśmy wolni. Marek nie umiał pływać, a granicy nad rzeką pilnowali niemieccy strażnicy. Jednak nie przestałam ani na chwilę marzyć o tym, by przepłynąć na drugą stronę rzeki. Którejś nocy zdobyliśmy się na odwagę i z nadmuchaną dętką rowerową, która służyła nam jako koło ratunkowe, zanurzyliśmy się w rwącym nurcie rzeki. Z Markiem na plecach dopłynęłam do środka rzeki, kiedy niemieccy strażnicy zaczęli krzyczeć i strzelać w naszą stronę. Po drugiej stronie rzeki zauważyliśmy Szwajcarów. Nurt rzeki był tak silny, że w pewnym momencie myślałam, że już nie damy rady dopłynąć do brzegu. Ale udało się. Wyczerpani, ale żywi, znaleźliśmy się w Szwajcarii. Stamtąd pojechaliśmy do Anglii, gdzie skończyłam moje studia.

Od 1948 roku mieszkam w Santiago de Chile, gdzie przez długie lata pracowałam jako lekarz ginekolog w szpitalu San Juan de Dios.

### **Fragmety rozmów Ewy Odachowskiej z Raulem Małachowskim**

**Raul:** Ewa, przecież te nasze słynne „spotkania pod kasztanem” wcale nie odbywały się pod kasztanem! Kasztan rośnie tam, w głębi ogrodu. A my siadaliśmy tu, przy tym stole, pod orzechem. Ale lepiej brzmiało „spotkania pod kasztanem” i tak już zostało. Pamiętam jeszcze ten długi stół z drewnianych desek. Miejsce spotkań wszystkich Polaków, zawsze u Ewy. Ewa, a ty pamiętasz, że jeszcze dwa lata temu stawałaś na stole i piłaś bruderszafty z nowymi Polakami, którzy tu przyjeżdżali?

**Ewa:** Tak, ale tylko z młodymi i przyjemnymi.

**Raul:** Wszystkie spotkania polskie były apolityczne. Były osoby, których ja prywatnie nie znosiłem, ale u Ewy przy kieliszku się z nimi spotykałem. Na przykład z Kowalskim...

**Ewa:** Ale on wyjechał, prawda?

**Raul:** Tak, na tamten świat.

**Ewa:** No to rzeczywiście radykalnie.

**Raul:** Z tej naszej grupy to już prawie nikogo nie ma. Został tylko Kurasz, Jannasz i parę innych osób. Ewa, a ty pamiętasz, jak kiedyś przepłynęłaś przez Ren, Niemcy do ciebie strzelali, skakałaś ze spadochronem...

**Ewa:** No, teraz jestem już znacznie spokojniejsza.

**Raul:** Ewa, ty przyplłynęłaś tu statkiem? Kiedy to było?

**Ewa:** To było tak dawno, że nawet najstarsi ludzie tego nie pamiętają. Kiedy ja tu przyplłynęłam? Skąd? Ze Szkocji, gdzie studiowałam medycynę. Ale tu w Chile miałam rodzinę, bo matka mojego ojca była Domeykówna. A tu, w Santiago, mieszkała Anita Domeyko. Tutaj dopiero ją poznałam, tu myśmy się zaprzyjaźniły. Pamiętam, że Anita zabrała nas do siebie do domu na ulicę Cueto, gdzie dawniej mieszkał Ignacy Domeyko. Kazała nam się rozgościć, byśmy czuli się swobodnie, podczas gdy sama wyjechała z dziećmi nad morze. Po kilku dniach służąca uprzedziła nas, że może nastąpić lekkie trzęsienie ziemi, więc ja z Markiem, przerażeni, zaczęliśmy znosić ze strychu walizki, owijając w gazety cenne obrazy i porcelanowe serwisy i pakować je do tych waliz, żeby nie uległy zniszczeniu w czasie trzęsienia ziemi. W tym momencie wszedł do domu brat Anity i zastał nas w tych dziwnych

okolicznościach. Poczuliśmy się nieco zmieszani, przyłapani na pakowaniu drogocennych przedmiotów do waliz... Ciekawe, co mógł sobie wtedy pomyśleć!

**Raul:** A pamiętasz, jak Anita Domeyko się obraziła, kiedy w dzień jej dziewięćdziesiątych dziewiątych urodzin śpiewaliśmy jej po polsku „Sto lat”? A przeżyła 105 lat! Ale wracając do twojego przyjazdu... Pamiętam, jak bardzo ciężko tu pracowałaś na początku, jako bibliotekarka w szpitalu psychiatrycznym... Do tego studia, dziecko, nostryfikacja dyplomu... Ciężko ci było?

**Ewa:** Ach, Raul, daj mi jeszcze raz te lata, to ci dwa razy tyle odpracuję! Nigdy nie czułam się tu źle. Pamiętam, że na początku mieszkałam w domu z małżeństwem Pszczółkowskich. Potem przyjechała do Chile także moja mama. Mieszkała tu dobrych parę lat, wszyscy Polacy się z nią zżyli, nazywali ją „Babuleńką”. Brała czynny udział w życiu Polonii, była wesoła, rozmowna, towarzyska. Wszyscy ją lubili. Ja przyjaźniłam się na początku z Petlarami, zapraszali mnie na brydża, ale ja nie bardzo w brydża potrafiłam grać...

**Raul:** No, ale przecież w końcu grałaś.

**Ewa:** No tak, grałam, jak nie było czwartego.

**Raul:** A tak w ogóle, to znalazłem niedawno w „El Mercurio” artykuł o tobie.

*(Ewa się wzdryga)* Nie bój się, to artykuł ze starych lat.

**Ewa:** Aaa... kiedy byłam piękna i młoda. To dobrze, bo teraz by było smutno pisać...



## JERZY JANNASZ

Jerzy Jannasz urodził się 2 kwietnia 1915 roku w Moskwie. Syn Bolesława Jannasza (1885-1924) i Wiktorii Stefanii Baryckiej (1895-1970). W 1927 roku przyплыł z mamą i ojczymem statkiem „Orbita” z Francji do Peru, skąd w 1930 roku dotarł do Chile. Czterokrotnie żonaty (Elisa Aliaga, Katharine Rowley, Alicia Runco, Ruth Prieto). Ojciec czworga dzieci: Jorge Teodoro (1941), Luis Alberto (1942), Maria Alicia (1953), Raymundo (1955).





## JERZY JANNASZ

*Santiago de Chile, mieszkanie Jerzego Jannasza. Na stole leżą książki o historii Polski, na ścianie wiszą ordery i medale, w tym odznaczenie Brytyjskich Sił Powietrznych. Są też zdjęcia rodziny i obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej. Pan Jerzy oprowadza po swoim mieszkaniu, pokazuje pokój gościnny: – Tu zawsze Pani może zostać. Znamy się zaledwie od kilku minut, ale taka jest właśnie polska gościnność. – Wódeczka? Mam z Polski. Ogórki kiszone? Też mam, kupiłem w pobliskim sklepie. Więc siadamy przy stole i jemy ogórki. Pan Jerzy przynosi stare dokumenty, paszporty, akty urodzenia. Stół wypełnia się pozółkłymi papierami sprzed wojny, peruwiańskimi legitymacjami, chilijskimi wizami...*

### **Urodziłem się w Moskwie....**

Urodziłem się w Moskwie w roku 1915. Niektóre moje dokumenty stwierdzają, że urodziłem się w 1916, inne z kolei, że w 1917, ale uważam, że to nieistotne. Urodziłem się w Moskwie, ponieważ moja matka z Warszawy, gdzie mieszkała przy ulicy Nowowiejskiej 9, pojechała pociągiem odwiedzić mego ojca, który był na wygnaniu na Syberii. Po drodze urodziłem się ja. Zatrzymaliśmy się w domu u pewnego Rosjanina, a kiedy wybuchła rewolucja w Rosji, wróciłem z matką do Warszawy. Mój ojciec został w niewoli, a po powrocie do Polski popełnił samobójstwo. Powiesił się w Łodzi w 1924 roku. Nigdy go nie poznałem. W Warszawie mieszkaliśmy u dziadka, w mieszkaniu przy Placu Teatralnym. Mój dziadek był bardzo bogatym człowiekiem, właścicielem kawiarni „Zakopianka”, która znajdowała się przy Ogrodzie Sas-

kim. Zaczęłam chodzić do szkoły. W tym czasie moja matka związała się z Teodorem Kluczyńskim, który dostał kontrakt do Peru, jako inżynier agronom.

### **Wyjechaliśmy do Peru...**

Wyjechaliśmy więc z Polski do Peru, kiedy miałem dziewięć lat, w 1924 roku. Najpierw pojechaliśmy pociągiem z Warszawy do Francji. We Francji wsiedliśmy na statek „Orbita” i popłynęliśmy przez Kanał Panamski do Peru. Pamiętam dokładnie, że podróż trwała długo, okręt cumował w różnych portach. Małymi łódeczkami podpływali do statku lokalni sprzedawcy, którzy oferowali podróżnym różne produkty. Kiedy ktoś chciał coś kupić, trzeba było zakup wciągnąć linką na pokład. Naszym pierwszym przystankiem była Panama. Nie podróżowaliśmy jako emigranci, z racji tego, że mój ojczym płynął zakontraktowany przez rząd peruwiański, w związku z tym mieliśmy szereg przywilejów: duże i wygodne kajuty, dobre jedzenie... Niczego nam nie brakowało. Kiedy dopłynęliśmy do Limy, poszliśmy do wyznaczonego hotelu i tam nauczyłem się pierwszego hiszpańskiego słowa: „pajaro”, czyli ptak. Ale ja nauczyłem się go niepoprawnie: „pajairo”. I tak mi zostało do dziś, że czasem dodaję gdzieś niepotrzebnie literę „i”.

W Limie pierwszy raz w życiu widziałem góry. Poszliśmy na spacer z ojczymem i zobaczyliśmy taką niewielką górkę.

– *Idziemy na górę, Jurek?*

– *Chodźmy!*

Przeszliśmy kawałek i okazało się, że to nie była górka, tylko góra, wielka i taka wysoka, że zrezygnowaliśmy i wróciliśmy do centrum Limy. Ja nigdy wcześniej nie widziałem gór.

Później mój ojczym sprowadził do Peru całą rodzinę: braci i rodziców mojej matki oraz swoich rodziców. Nigdy nie

dostaliśmy obywatelstwa peruwiańskiego, zawsze mieliśmy tylko polskie. W Peru mieszkaliśmy w różnych miastach i miejscowościach: w Limie, Chanchamayo, Cachicadán, Otuzco, Agallpampa, Huamachuco, Trujillo. Tam zacząłem uczęszczać do szkoły, jednak już w 1930 roku musieliśmy opuścić Peru, ponieważ wybuchła rewolucja, na której czele stanął Luis Miguel Sánchez Cerro. On zorganizował zamach stanu i obalił prezydenta Augusto B. Leguía. Później wytłumaczono mojemu ojczymowi, że nie był dobrze widziany w Peru, ponieważ był zakontraktowany przez rząd prezydenta.

### **Przyjechaliśmy do Chile...**

Przyjechaliśmy więc do Chile. Dla mnie to było jak przyjazd z puszcy do Paryża. W Peru służące mojej matki nie wchodziły nawet do jej pokoju, spały na podłodze przy drzwiach sypialni. A w Chile było normalnie masło i wędliny – zupełnie jak w Europie!

Z Trujillo popłynąłem statkiem z matką i dwoma przyrodnimi siostrami do Chile, ojczym został jeszcze miesiąc w Peru, potem do nas dopłynął. Następnie dostał pracę w Santiago, więc przeprowadziliśmy się z Valparaiso do stolicy.

Kiedy miałem 19 lat postanowiłem odwiedzić moich wujków, którzy zostali w Peru i którzy mieli tam hacjendę San Antonio oraz plantację awokado i kawy. Popłynąłem statkiem do Peru nie płacąc ani grosza – ukryłem się na jednej z łódek ratowniczych. Kiedy dopłynąłem do portu w Callao, stanąłem z pustymi kieszeniami na lądzie i powiedziałem sobie: – *No, to teraz trzeba wujków odnaleźć.*

No i ich odnalazłem. Spędziłem z nimi rok. W międzyczasie jeden z moich wujków przechodził poważne rozterki sercowe, w wyniku których któregoś dnia postanowił

sobie odebrać życie strzałem z rewolweru prosto w serce. Jednak nie wycelował dobrze i nie udało mu się ze sobą skończyć. Potem miałem jeszcze zamiar popłynąć do Stanów Zjednoczonych, więc znów bez pieniędzy załadowałem się na jakiś statek... Lecz tym razem nie poszło mi tak łatwo: złapali mnie w Panamie i kazali opuścić pokład. Cztery dni spędziłem w areszcie razem z jakimś zbrodniarzem. Młode lata... Myślałem, że pojedę do Stanów i zrobię fortunę. Z Panamy kazali mi wrócić do Chile, wsadzili mnie na statek i na tym skończyła się moja wyprawa. Podróżowało się wtedy, jak tylko się dało, to stare czasy...

### **Pojechałem na ochotnika na wojnę...**

Od tego czasu siedziałem w Chile. Skończyłem tu szkołę średnią, a potem półtora roku spędziłem na uniwersytecie na wydziale inżynierii mechanicznej. Byłem pilotem cywilnym – amatorem, latałem na małych samolocikach i dlatego poszedłem do awiacji. Ojczym namówił mnie, żebym pojechał jako ochotnik na wojnę. Tłumaczył, że Polska jest w potrzebie. Któregoś dnia zapytał:

– *Dlaczego ty, Jurek, nie pojedziesz na wojnę?*

– *Jadę.*

Założyłem kalesony i pojechałem. Tak wyszła ze mnie ta polskość. Poszedłem do ambasady angielskiej i zapisałem się. To było w 1943 roku. Ponieważ pojechałem na ochotnika, byłem bardzo dobrze przyjęty przez wojsko angielskie. Dlaczego nie wróciłem do Polski po wojnie? Bo to, o co ja poszedłem walczyć, nie spełniło się. Polska została zagrabiona przez Rosję.

Studia skończyłem po wojnie w Anglii, bo królowa

wydała pozwolenie, by ci wszyscy, którzy byli w RAF-ie<sup>[1]</sup>, mogli tam kończyć naukę. Skończyłem to w tempie przyspieszonym – pięć lat przerobiłem w pół roku.

Byłem zdemobilizowany w Portsmouth, niedaleko Londynu. Tam wsadzili mnie na okręt, którym popłynęliśmy do Buenos Aires. To był okręt ochotników z Południowej Ameryki, najwięcej było Argentyńczyków. Ja byłem jedyny z Chile. Z Argentyny pojechałem pociągiem do Santiago. To było w 1946 albo 1947 roku. Byłem w mundurze polskim i angielskim. Zawsze miałem na mundurze napisane *POLAK*. Kiedy wróciłem do Chile nie wiedziałem, co robić. Byłem już żonaty z moją pierwszą żoną. W głowie miałem pustkę...

Przypomniała mi się taka pewna historia... Kiedy przyjechaliśmy z rodzicami do Chile mieszkaliśmy w Santiago przy ulicy José Manuel Infante. Naszymi sąsiadami było sympatyczne niemieckie małżeństwo. Kolegowałem się z ich synem, Hansem, który był w moim wieku. Często graliśmy razem w piłkę. Kiedy dowiedzieliśmy się, że w Europie wybuchła II wojna światowa, mój ojczym przestał rozmawiać z sąsiadem, a my przestaliśmy grać w piłkę i zaczęliśmy rzucać w siebie kamieniami. Potem pojechaliśmy obaj na wojnę. Ja walczyłem za Polskę, a on za Trzecią Rzeszę. Kiedy Niemcy skapitulowały, byłem w Anglii. Siedziałem sobie któregoś dnia w barze, popijając piwo. Nagle zauważyłem grupę niemieckich jeńców wojennych. Szli razem prowadzeni przez jakiegoś strażnika. W grupie tej zobaczyłem mojego sąsiada. – *Hans!* – krzyknąłem uradowany i podbiegłem do strażnika pytając, czy mogę na chwilę porozmawiać z jednym z prowadzonych jeńców. Usiedliśmy na ławce i nie wiedzieliśmy, co powiedzieć. Po chwili Hans wydusił z siebie: – *Widzisz, pomyliłem strony...*

---

<sup>1</sup> RAF – *Royal Air Force*, Królewskie Siły Lotnicze – nazwa sił lotniczych Wielkiej Brytanii.

Dałem mu wtedy mój zegarek, tak na wszelki wypadek. Słyszałem, że później także on wrócił do Chile i prawdopodobnie zamieszkał na południu.

### **Pracowałem w amerykańskiej firmie i płacili mi w dolarach...**

Po powrocie z wojny zacząłem pracować w lotnictwie. Później przez prawie trzydzieści lat pracowałem w amerykańskiej firmie miedziowej „Anaconda”, w której doszedłem do wysokiej pozycji. Kiedyś firma zaproponowała Borowiczowi<sup>[2]</sup> wykonanie reklamy, więc kiedy Bob przyjechał na północ Chile, gdzie znajdowały się nasze kopalnie, to ja, jako Polak, przyjąłem go i jeździłem z nim w plenery, żeby Bob mógł robić zdjęcia do kampanii reklamowej. Jeździliśmy wszędzie tam, gdzie on sobie zażyczył. Mam takie jedno zdjęcie Boba... zaraz go poszukam. Pamiętam, kiedy mnie poprosił:

*– Jurek, zrób mi tutaj zdjęcie, potem ja ci zrobię takie samo. Wrócimy do Santiago i powiemy wszystkim, że byliśmy na księżycu.*

To było na Pustyni Atacama, w Dolinie Księżycowej. Krajobraz tam jest rzeczywiście niespotykany...

Kiedy pracowałem w „Anacondzie” płacili mi w dolarach, dlatego wykształciłem moją córkę w Stanach, gdzie teraz mieszka. Jeden z moich synów jest geologiem, zrobił doktorat w Harvardzie.

Od 79 lat mieszkam w Chile. Czuję się w 49% Chilijczykiem, a w 51% Polakiem. Przyjechałem tutaj, kiedy jeszcze nie było Polaków w Chile. Dawniej mój dom nazywali „Małą Ambasadą”, bo każdy Polak, który przyjeżdżał do Santiago, był tu zawsze przyjmowany.

---

<sup>2</sup> Bogusław „Bob” Borowicz (1922-2009) – znany i ceniony polski fotografik mieszkający w Chile.

SER. II. N.º 019421  
N.º 144



REPUBLICA ARGENTINA  
MINISTERIO DEL INTERIOR  
19 AGOS. 1946  
SANIDAD

RZECZPOSPOLITA POLSKA  
M. S. W.  
REPUBLIQUE POLONAISE  
M. I.

PASZPORT-PASSEPORT

Obywatel polski } Jerzy Antoni  
Citoyen polonais }  
JANNASZ

zamieszkały w } CHILE  
domicilié à }

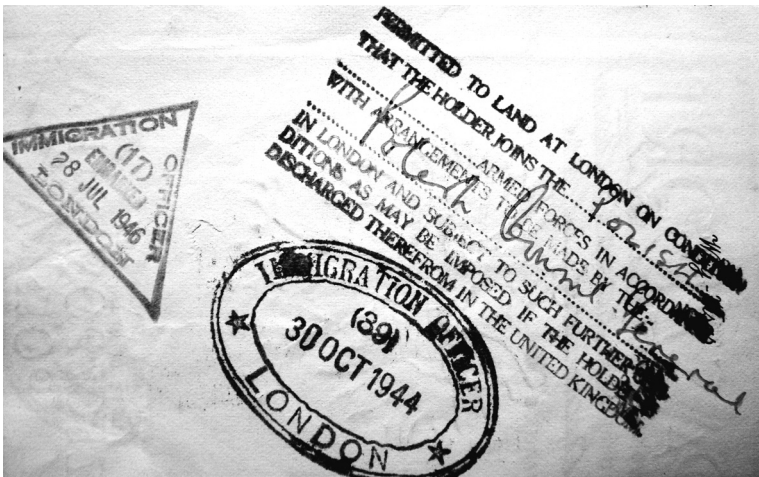
w towarzystwie żony }  
accompagné de sa femme }

i }  
et de } dzieci  
enfants

Passport ten zawiera 40 stron  
Ce passeport contient 40 pages

Paszport Jerzego Jannasza.





Strona paszportu Jerzego Jannasza.

## RAUL MAŁACHOWSKI

Raul Nałęcz – Małachowski urodził się 1 stycznia 1916 roku w Helsinkach. Syn generała Stanisława Nałęcz – Małachowskiego (1882-1971) i Anny Lisy Rydberg Pettersen (1892-1944), zamordowanej przez Gestapo. Były więzień obozu koncentracyjnego w Gusen. Do Chile przyплыł statkiem „Americo Vespuccio” w 1950 roku.



## RAUL MAŁACHOWSKI

*W jego słabych już oczach kryje się bystre spojrzenie młodzieńca, który ma jeszcze całe życie przed sobą i mnóstwo zadań do spełnienia.*

*W jego zgarbionych plecach – sztywny kręgosłup moralny.*

*W jego chwiejnym kroku – niezachwiana postawa i gotowość młodego żołnierza, który czuwa i jest przygotowany na wszystko w każdej chwili.*

*Jego pomarszczone dłonie mają jeszcze do namalowania niezliczoną ilość obrazów.*

*Raul Małachowski jest duchowym młodzieńcem, przedwojennym typem człowieka, których trudno dziś już spotkać.*

Urodziłem się w Helsinkach i tam zostałem ochrzczony w kościele katolickim. Moja mama nazywała się Anna Lisa Rydberg Pettersen, była wnuczką Wiktora Rydberga – członka Szwedzkiej Akademii Literatury – i córką znanego pisarza szwedzko-fińskiego, redaktora pisma literackiego „Lördagen”. Po ślubie z moim ojcem i po moich narodzinach, przeprowadziła się do Łodzi, gdzie mieszkaliśmy w pałacu Biedermanna. W roku 1944 moja mama została zamordowana przez Gestapo.

Mój tata nazywał się Stanisław Nałęcz-Małachowski, był generałem, dowódcą Okręgu Korpusu IV Łódź, obrońcą Modlina. W 1952 roku przyjechał do Chile.

Łódź jest miastem mojego dzieciństwa. Tam chodziłem do wielu szkół i tam zdałem maturę. Po maturze mama wysłała mnie do Poznania, żebym studiował w Wyższej Szkole Handlowej. W międzyczasie odbyłem służbę wojskową

w Centrum Wyszkożenia Kawalerii w Grudziądzu oraz praktyki w konsulacie w Hamburgu. Tam nauczyłem się dobrze niemieckiego, co w wielu sytuacjach podczas wojny uratowało mi życie. Kiedy wybuchła wojna, miałem dwadzieścia trzy lata.

W pierwszych dniach września poszedłem z tatą piechotą do Warszawy, gdzie generał Juliusz Rómmel mianował mojego tatę dowódcą obrony Modlina, która trwała dłużej niż obrona samej stolicy. W październiku udało mi się wrócić do Łodzi, gdzie zacząłem pracować w Polskim Czerwonym Krzyżu. Kilka razy mnie aresztowano i więziono na Sterlinga i na Radogoszczu. W 1943 roku wysłali mnie do obozu koncentracyjnego w Gusen, gdzie spędziłem półtora roku.

Teraz, po tylu latach, już mi przeszło... Już nawet mogę bardziej spokojnie o tym myśleć. Wcześniej nie potrafiłem. Miałem wieloletnią traumę, przede wszystkim we Włoszech. Tam było ze mną niedobrze. Jeszcze w Belgii nie mogłem spokojnie spać. Budziłem się zlany potem, kiedy przez sen słyszałem zatrzymujący się pod moim oknem samochód. Myślałem, że Gestapo przyjechało po mnie. Trwało to kilka lat.

Kiedy byliśmy w Gusen strasznie się myliliśmy, jeśli chodzi o daty. Nie wiedzieliśmy, jaki był dzień, miesiąc. Potrafiлиśmy jedynie ustalić porę roku. Kiedy padał śnieg, wiedzieliśmy, że była zima... Zimą śnieg wpadał do baraków przez szpary w dachu. Żeby nie zmarznąć, kładliemy się na sobie wzajemnie. Kolejną można było się przykryć jak kołdrą, potem oczywiście następowała zmiana. Wiedzieliśmy za to z dokładnością, kiedy był Sylwester, bo wszyscy esesmani chodzili pijani i śpiewali piosenki noworoczne. Ale potem znowu zatracaliemy poczucie czasu.

Pewnej nocy, na samym początku mojego pobytu

w obozie, obudziłem się, ponieważ chciałem pójść do łazienki. Było ciemno, nie wiedziałem dokładnie, gdzie były ustawione kubły, więc pomyślałem, że lepiej wyjdę z baraku. Kiedy tylko wyszedłem, od razu o coś się potknąłem. Była ciemna noc... Nic nie widziałem. Czuję, że zacząłem wchodzić na jakieś wzniesienie, choć nie przypominałem sobie, żeby przed naszym barakiem były jakieś pagórki. Ale szedłem dalej, wspinałem się uparcie, podpierając się jedną ręką o zewnętrzną ścianę baraku. Raptem poślizgnąłem się i upadłem. Poczuję, że ręka zapadła mi się w coś wilgotnego i zimnego. Było to nieprzyjemne uczucie. Wzrok powoli zaczął mi się przyzwyczajać do ciemności i nagle zobaczyłem, że nie wspinałem się po ziemi, tylko po górze trupów. Miałem rękę w otwartych ustach jakiegoś martwego więźnia. Wtedy zrobiło to na mnie okropne wrażenie, lecz z czasem zupełnie się przyzwyczałem do takich widoków.

W obozie nikt nie przedstawiał się z imienia i nazwiska. Zналиśmy tylko nasze numery. Nie było zaufania. Ludzie bali się jeden drugiego. Skąd można było wiedzieć, czy ten drugi nie jest przypadkiem jakimś agentem i za chwilę na ciebie nie doniesie? Potem cię jeszcze zabiją za to, że się zbyt spoufaliłeś, że za dużo powiedziałaś. Jedynym więźniem, który miał do mnie zaufanie i przedstawił mi się z nazwiska, był pewien Włoch – Parisi. Parisi spał ze mną na tej samej pryczy. Był wykształcony, opowiadał mi dużo o życiu artystycznym we Włoszech, o teatrze, operze, architekturze. Zapraszał mnie na przedstawienia, chodziliśmy razem na koncerty. Ja też go zapraszałem: na polowania do Polski, do kina, na spektakle z Ćwiklińską... Tak właśnie spędzaliśmy noce. Gdzie chodziliśmy na te koncerty? W naszej wyobraźni. Nasza wyobraźnia pozwoliła nam przetrwać.

Był też pewien łódzki adwokat, nazywał się chyba

Przybyszewski. Jego zadaniem w koncentracji było pilnowanie ubikacji. A ubikacja to była tylko długa deska z dziurami i wykopany głęboki dół. To było straszne. Ale on uparcie utrzymywał, że ta deska to były krzesła w eleganckiej łódzkiej kawiarni „Esplanada”. I codziennie nas tam przyjmował. Ściągaliśmy spodnie, siadaliśmy na desce, żeby nie wzbudzać podejrzeń u esesmanów, a Przybyszewski serwował nam w miedzianych puszkach od konserw brudną wodę, przekonując, że jest to doskonała kawa. I tak żeśmy sobie plotkowali, kiedy tylko było to możliwe. Ale jak za długo się siedziało, to czasem Niemcy wchodzili rozwścieczeni i popychali tak, że się wpadało w wykopany dół i można było utonąć. Dużo ludzi tak tonęło codziennie.

W obozie panowała monotonia: ciągle bicie i zabicie, w kółko to samo. Śmierć była czymś tak codziennym, że my nawet jedliśmy nasze posiłki siedząc na trupach. I jakoś nikomu to nie przeszkadzało, nikt się nie wzdrygał. Wyobrażaliśmy sobie, że siedzimy na jakimś fotelu. Dawali nam do jedzenia łupiny z kartofli w gorącej wodzie. Kartofle oczywiście były dla Niemców, dla nas tylko te brudne łupiny.

Jak umierał w obozie mój znajomy fryzjer z Łodzi, to myślisz, że my byliśmy tym wzruszeni? Przecież to było takie normalne. Nie chcę, żeby o tym mówiono, ale niektórzy współpracowali z Gestapo, donosili, kto miał złote zęby. Po ich zabiciu gestapo dzieliło się łupem z więźniami, którzy donosili. Znałem człowieka, który współpracował z Gestapo... Kiedy wychodziliśmy w maju 1945 roku, miał woreczek ze złotymi zębami. Byli i tacy.

Przeżywali ci, którym się dobrze powodziło: ci, któ-

rzy byli pisarzami na blokach, którzy byli kapo<sup>[1]</sup>, ci, którym udało się dostać jakąś funkcję. Na przykład dobrze było mieć funkcję pisarza. Pisarz prowadził kartotekę: kto umarł, kiedy umarł, kto przyszedł, ilu zabito rano, ilu wieczorem... Rano przychodziło gestapo i taki pisarz meldował:

– *Na bloku jest tysiąc osób.*

Gestapowiec meldował to oficerowi, wracał po jakimś czasie i wydawał polecenie:

– *Jak przyjdę za dwie godziny, ma być osiemset!*

Więc ten pisarz wiedział, że trzeba zlikwidować tylu ludzi. Ja w ostatnich miesiącach obozu prowadziłem takie kartoteki przy pracy w tunelu. Pracowałem w małym pokoiku kapo, który pilnował wszystkich kartotek. Pamiętam, że było tam ciepło i nie zabijano tak bardzo. Chyba że ktoś podpadł...

Najgorsze prace były przy kamieniołomach w Mauthausen. Tam byłem tylko jeden dzień, potem przeszedłem do Gusen. Pamiętam, że trzeba było ciężkie kamienie z dołu wnosić na górę. Na górze stali esesmani i pilnowali pracy. Często się zdarzało, że zdejmowali więźniom te białoniebieskie mycki, które każdy nosił, i rzucali na dół mówiąc: – *Skocz po czapkę!* To oczywiście oznaczało tylko jedno – samobójstwo. Jak nie skoczyłeś po tę czapkę, to cię popychał. To był jeszcze jeden sposób zabijania. W kamieniołomach strasznie ginęli ludzie.

Dużo więźniów umierało razem: brali się za ręce i szli na druty elektryczne. Było też wiele osób, które nazywano muzułmaninami. Ten typ więźniów był szczególnie: ich stan umysłowy był tak zredukowany, że oni właściwie nic nie myśleli, nie odczuwali, byli żywymi trupami, bezmyślnie szli przed siebie, aż w końcu trafiali na druty. Jak esesmani

---

<sup>1</sup> Kapo – więzień pełniący funkcję dozorcę innych więźniów w obozach koncentracyjnych III Rzeszy.



wołali za takim „Stój!”, nie zatrzymywał się, tylko nadal szedł, jak lunatyk. Ktoś mógł go popchnąć, a on nic – dalej szedł, szedł, szedł, aż trafił na mur, na ścianę, chciał dalej iść, nie mógł i umierał. Albo sadzano go gdzieś, a on już nie wstawał i umierał na siedząco. Taki stan towarzyszył wielu więźniom. Znałem dużo ludzi, którzy stawali się muzułmaninami. To był najgorszy stan, gorszy niż Alzheimer, tyle, że występował u młodych. Ale to już prawie nie byli ludzie, tylko chodzące kościotrupy. Bardzo mało ludzi miało silny charakter. Ja osobiście czułem, że przeżyję. Nie wolno mi było się poddać. Nie mogłem do siebie dopuścić ani w jednej sekundzie myśli, że mnie zabiją. Ile razy, leżąc na podłodze z twarzą przy ziemi, widziałem czarny skórzany but esesmana, który był o centymetr ode mnie... Ale ja zawsze sobie powtarzałem: *Nie, ten but mnie nie nadeptnie, ten but mnie nie zmiażdży. Muszę przeżyć.*

Miałem w życiu parę wypadków, które są dla mnie niezrozumiałe. Był taki kapo niemiecki, strasznie elegancki. Zawsze nosił szykowne płaszcze, bardzo ładne berety i miał pełno białych rękawiczek poupychanych w kieszeniach. To był kapo pracy, nazywał się Pohl. Miał bardzo nieprzyjemny zwyczaj. Zawsze chodził w tych białych rękawiczkach i kiedy nie podobała mu się twarz jakiegoś więźnia, podchodził do niego, wkładał mu dwa palce w dziurki od nosa i wykręcał go, łamiąc wszystkie chrząstki i kości. Potem się ironicznie uśmiechał, zdejmował te zakrwawione rękawiczki, wyrzucał je, zakładał nowe i odchodził. Podobno to był aktor berliński, bardzo znany, dostał się do obozu koncentracyjnego, był tam na stanowisku. Któregoś dnia natknąłem się na Pohla. Patrzył się na mnie, a ja widziałem tylko te jego białe rękawiczki i stałem, jak sparaliżowany. Nie miałem odwagi nawet się ruszyć. Powoli podszedł do mnie, a po mnie zaczął sły-

wać zimny pot... Śledziłem każdy jego ruch i zobaczyłem, jak wkłada rękę w tej białej rękawiczce do kieszeni... Myślałem, że to już mój koniec, gdy spostrzegłem, że wyciąga rękę z kieszeni i podaje mi dwa ząbki czosnku. Nic nie powiedział i poszedł. A czosnek w koncentracji to była fortuna, to były witaminy! Nigdy więcej nie podszedł do mnie. A dlaczego on to zrobił ze mną? Nie wykręcił mi nosa, nie pobił, nie zabił, nic mi nie zrobił? Dał mi czosnek i poszedł. Są rzeczy, których ja nie mogę sobie wytłumaczyć. Przeżyłem, jak widzisz.

Któregoś dnia, już pod koniec wojny, podeszli do mnie dwaj gestapowcy i powiedzieli, że mam się zgłosić do *Politische Abteilung*<sup>[2]</sup>. Od razu mnie ze sobą zabrali. Zdążyłem tylko pożegnać się z Fredkiem Wielgoszem i powiedziałem mu, że to chyba będzie dla mnie najlepsza śmierć, bo na ogół nikt stamtąd nie wracał. Rozstrzeliwano na miejscu i po sprawie. W gmachu *Politische Abteilung* moim obowiązkiem było szybko wejść, stanąć w kącie twarzą do ściany i wykrzyknąć mój numer. Jak tylko to wykonałem, usłyszałem:

– *Z tym polskim świńskim psem będę rozmawiać sam! Proszę wyjść!*

I natychmiast wszyscy gestapowcy wyszli. Słyszałem kroki, zamykanie drzwi. Nagle, gdy zostałem sam na sam z tym Niemcem, usłyszałem jego łagodny głos:

– *Proszę pana, niech pan podejdzie i usiądzie.*

Bardzo mnie zdziwiła ta nagła zmiana tonu. Przyjemny pan, siwe włosy, orli nos, nie wrzeszczy i nie wyzywa mnie od świń, zwraca się do mnie na „pan”... Ale mundur gestapowca. Coś mi nie grało. Po chwili milczenia zwrócił się do mnie tymi słowami:

– *Wiem, że pana ojciec żyje. Jest w obozie jenieckim dla generałów polskich. Zawiadomiono go, że pan żyje i znajduje się*

---

<sup>2</sup> *Politische Abteilung* - Wydział Polityczny.

*w obozie koncentracyjnym. Ale ja nic panu nie mogę pomóc, ponieważ pan jest w obozie zagłady.*

I dał mi do zrozumienia, że Niemcy mogą wygrać albo przegrać i że wojna nie potrwa już długo.

*– Niech się pan ratuje, jak może.*

Potem otworzył drzwi z wielkim hałasem, zaczął na mnie krzyczeć, wyzywać od świńskich psów, kopnął parę razy, popchnął, przewróciłem się i na koniec usłyszałem jeszcze wrzask:

*– Raus do obozu!*

I zabrali mnie z powrotem do obozu. Wtedy zacząłem myśleć, co mogę zrobić, żeby się ratować, żeby nie dać się zabić przed końcem wojny. Trzeba było zaryzykować. Moim kapo był Walter, kryminalny, który w pierwszych dniach obozu okropnie mnie pobił za to, że na chwilę przerwałem pracę i stanąłem z maszyną do borowania w skale. Ten Walter był Ślązakiem, mówił trochę po polsku. Podszedłem do niego myśląc, że albo mnie zatłucze albo się zastanowi nad tym, co miałem zamiar mu powiedzieć. Zacząłem tak:

*– Proszę pana, chcę panu coś powiedzieć...*

Od razu wyzwał mnie od najgorszych.

*– Ty się ośmielasz ze mną rozmawiać?*

Musiałem szybko powiedzieć, o co mi chodzi, bo gdybym długo mówił, to on byłby gotów mnie zatłuc zanim skończę:

*– Musimy się ratować, ja mogę pana uratować!*

Wzburzył się niesamowicie, a ja kontynuowałem:

*– Jeżeli wy wygracie wojnę, to pan jest uratowany. Ale jeśli przegracie wojnę, to mogą pana zabić. A ja panu mogę obiecać, że będę pana bronił. Powiem, że pan ratował nas wszystkich. Niech się pan tylko postara, żeby mnie tu na robocie nikt nie zabił.*

Nakrzyczał na mnie bardzo, ale następnego dnia zrobił mnie pisarzem. Widocznie rozmawiał także z kimś na bloku, bo

kilka dni później usłyszałem, że miałem nie iść do tune-  
lu, tylko dali mi miskę z niebieską farbą i pędzel. Leżało  
na stercie mnóstwo trupów i trzeba było pisać ich numery  
na ich gołych piersiach. Musiałem patrzeć na numery napisane  
na rękach lub przywieszzone na sznurku i pisać je na mar-  
twych ciałach. Za to dostawałem trochę więcej jedzenia.  
Rzeczywiście ułatwili mi życie w ostatnich dniach obozu...

Były także śmieszne sytuacje. Pamiętam, że pierwszą  
myślą, jaką miałem po wyjściu z obozu było to, by jak naj-  
prędzej się stamtąd oddalić, zostawić wszystko w tyle,  
zapomnieć. Poszliśmy piechotą: ja, Wielgosz i taki nasz  
towarzysz, Austriak – bandyta, który potrafił otwierać  
wszystkie kasy. Nazywaliśmy go „Kasiarzem”. Poszliśmy  
w stronę Linzu. Na każdym kroku leżeli umarli – byli więź-  
niowie koncentraka. W drodze z obozu na wolność wszyscy  
byli wygłodniali, więc jak zobaczyli jakieś kartofle na drodze,  
to odgrzebywali je z ziemi i jedli jeszcze surowe. Oczywiście  
szybko po tym te szkielety ludzkie ważące po trzydzieści kilo  
umierały, bo kartofle były jeszcze niedojrzałe.

Po jakimś czasie doszliśmy do Linzu i nie wiedzieliśmy,  
co robić. Byliśmy brudni, prawie goli, w obdartych pasia-  
kach... Poszliśmy na parafię, która była cała zajęta przez  
Amerykanów. Poprosiliśmy księdza, by pozwolił nam za-  
trzymać się w baraku z narzędziami niedaleko cmentarza.  
Poszliśmy tam, tylko że w międzyczasie zniknął nam z oczu  
Austriak. Gdzieś poszedł i wrócił dopiero po kilku godzinach.  
I co nam przyniósł? Gorącą pieczeń! Dobry kolega „Kasiarz”  
przyniósł nam pieczeń! Jedliśmy ją zachwyceni – przez wiele  
miesięcy nie mieliśmy czegoś tak dobrego w ustach! Uczta  
trwała długo. Kiedy tak zajadaliśmy się tą pieczenią, raptem  
usłyszeliśmy okropny płacz w parafii. Gospodyni księdza  
szlochała tak głośno, że aż mi się jej żal zrobiło. Ale jeszcze  
wtedy nie wiedzieliśmy, co się stało. Wkrótce okazało się,

że na podwórku przy parafii znalazła skórę i głowę swojego pieska. A to myśmy pieska zjedli, nic o tym nie wiedząc!

Potem poszliśmy spać. Nad ranem obudziły mnie jakieś śpiewy, jakieś dzwony... Wychodzę i widzę trumnę, księdza w ornacie, pogrzeb na cmentarzu. Dostałem ataku hysterii. My siadaliśmy na trupach, jedliśmy na nich zupę, spaliliśmy na pryzkach obok umarłych więźniów, widzieliśmy setki rozkładających się ciał każdego dnia... A tu taka komedia? Dzwonki, uroczyste śpiewy, świece, kadzidła, modlitwy, ksiądz w ornacie? Rzuciłem się, żeby ich rozpedzić, żeby zedrzeć z księdza tę odświętną komżę, krzyczałem... To był zbyt silny kontrast dla mnie. Nie mogłem tego znieść. Potem dopiero mnie uspokoili.

Po wyjściu z koncentraka wstąpiłem do II Korpusu generała Andersa we Włoszech. Z Włoch pojechałem w 1947 do Belgii, gdzie zacząłem pobierać lekcje malarstwa i zostałem zatrudniony we Flamandzkiej Operze Królewskiej w Antwerpii. Pracowałem tam jako scenograf i wkrótce nadarzyła się okazja zrealizowania tournée po Chile z baletem belgijskim. Nie zastanawiałem się długo i popłynąłem tam jako ich reprezentant.

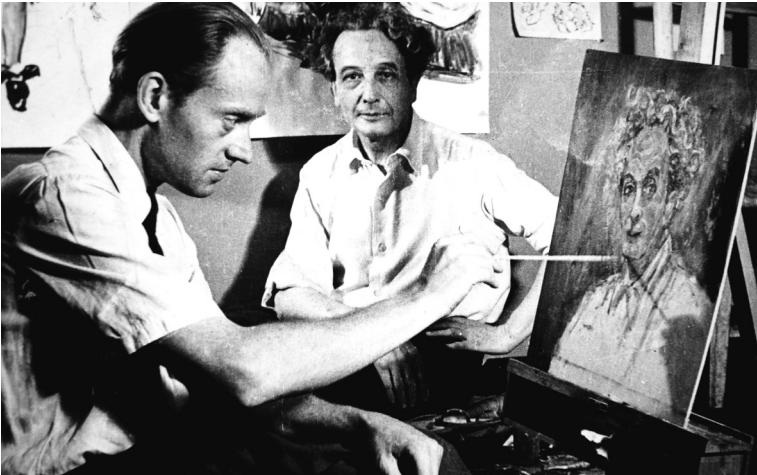
## **W Chile**

Dopłynąłem do Chile 5 maja 1950 roku. W nocy kapitan zawołał mnie na most kapitański i pokazał mi z daleka Valparaiso, do którego się zbliżaliśmy. Moim oczom ukazał się wspaniały widok portu i wznoszącego się nad nim na licznych wzgórzach oświetlonego miasta... Światła domów odbijały się w oceanie. To było przepiękne. Valparaiso nocą jest szalenie ciekawe dla nas – cudzoziemców: lokale nocne, marynarze z różnych stron świata, mieszanika wszel-

kich możliwych języków. Domki przylepione do wzgórz robią niezwykle malownicze wrażenie. Ale nigdy nie chciałem tam mieszkać ze względu na dużą ilość pluskiew, wszy i karaluchów.

Przyplłynąłem do Chile jako reprezentant baletu z Flamandzkiej Opery Królewskiej. Kiedy przyjechałem do Santiago zadzwoniłem do Teatru Miejskiego i natychmiast porozumiałem się z jego dyrektorem. W ten sposób zacząłem tu pracować. Wkrótce zorganizowałem moją pierwszą wystawę malarską i powoli wchodziłem w świat bohemy chilijskiej. Pracowałem tu jako malarz, scenograf, później również jako aktor teatralny i filmowy, reżyser, kostiumolog...

Mieszkam tu już od prawie sześćdziesięciu lat. I co sędzę o Chilijczykach? To są fenomenalni ludzie. Kiedy miałem zawał, właścicielka kawiarni, w której zawsze jadłam obiady, zajęła się mną i odwiozła do szpitala. Nigdy w życiu nie chciała ode mnie za nic brać pieniędzy, po zawale mogłem u niej codziennie jadać za darmo. Znajoma sklepikarka zachowała się tak samo – powiedziała, że mogę kupować u niej, co chcę i płacić, kiedy będę mógł. Lekarze leczą mnie za darmo. Pod tym względem trzeba przyznać, że Chilijczycy są wyjątkowi, pomagają bezinteresownie.



Raul Małachowski podczas malowania portretu  
chilijskiego rzeźbiarza – Totila Albert.

**Absender:**

Meine Anschrift:

Name: Raul Malachowski Nr 10895

geboren am: 1. 4. 1916

Block: III 107 Stube: 1

**Konzentrationslager**  
**Lager Nr. 10895, a. d. Lager Oberdonau**

Folgende Anordnungen sind beim Schriftverkehr mit Gefangenen zu beachten:

1. Jeder Schriftverkehr darf im Monat zwei Briefe oder zwei Karten von seinen Angehörigen empfangen und zwei Briefe oder zwei Karten schreiben und lesbar mit Tinte beschriften sein und dürfen nur 15 Zeilen auf einer Seite enthalten. Gestattet ist nur ein Briefbogen normaler Größe. Briefumschläge müssen ungedichtet sein und dürfen nur für den persönlichen Gebrauch à 12 Brief. beigelegt werden. Alles andere ist verboten und unterliegt der Beschagnahme. Postkarten haben 10 Zeilen. Lichtbilder dürfen als Postkarten nicht verwendet werden.
2. Gefangene sind gestattet, doch ist dabei genau Name und Vorname anzugeben.
3. ~~Zerwungen sind gestattet dürfen aber nicht durch die Poststelle des Lagers durchgereicht werden.~~
4. Lebensmittelpakete sind gestattet. Außer einem Lebensmittel sind Beilagen verboten und werden beschlagnahmt.
5. Entlassengesuche aus der Schutzhaft sind Legitimation sind zwecklos.
6. Sprechstunden und Besuche von Gefangenen im Konzentrations-Lager sind grundsätzlich nicht gestattet.
7. Alle Post, die diesen Anforderungen nicht entspricht, wird vernichtet.

**General**

**Stanislaw Malachowski**

**Oplag VII a**

**Munnen Oberbergen**

**Gef. Nr. 34**

**10895**

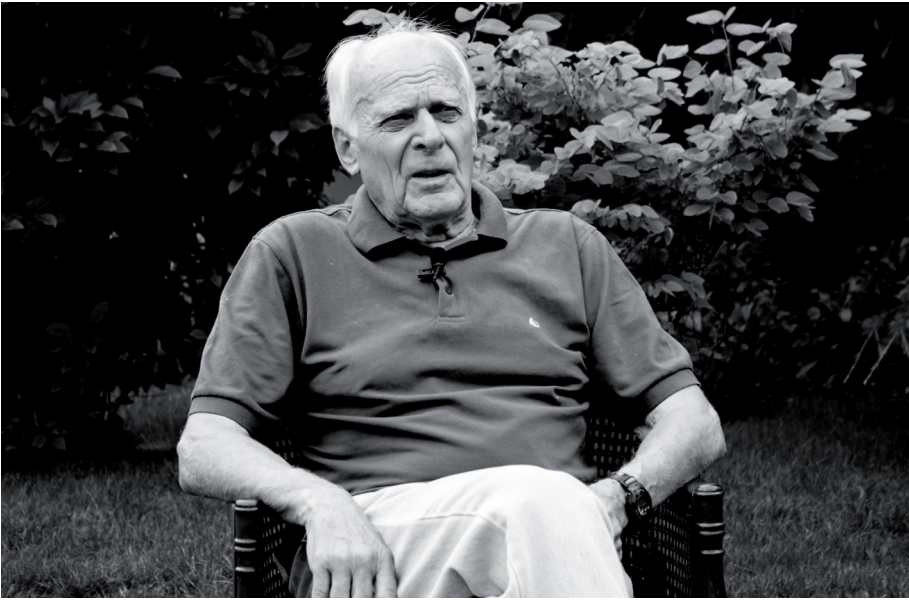
Koperta adresowana przez Raula Małachowskiego do ojca, gen. Stanisława Małachowskiego z obozu koncentracyjnego w Gusen.





## JERZY DZIEKOŃSKI

Jerzy Dziekoński urodził się 1 września 1921 roku w Grudziądzu. Syn Feliksa Dziekońskiego (1872-1944) i Heleny Jaźwińskiej (1885-1969), brat rotmistrza Mirosława Dziekońskiego (1915-1987). Uczestnik Powstania Warszawskiego. Po wojnie zamieszkał w Anglii, gdzie wykonywał zawód farmaceuty. W Chile mieszka od 1986 roku.



## JERZY DZIEKOŃSKI

*Jerzy Dziekoński jest młodszym bratem majora Mirosława Dziekońskiego, ojca Marii Elżbiety Dziekońskiej. Do Chile przyjechał dopiero w 1986 roku, ponieważ po II wojnie światowej został w Anglii. Jest jednym z trzech Polaków obecnie żyjących w Chile, którzy brali udział w Powstaniu Warszawskim (obok Ewy Odachowskiej i Dawida Fajerszteina). Niechętnie wspomina czasy wojny. Daleki jest od idealizowania postaw ludzkich w tak skrajnych okolicznościach, jakimi była wojna i powstanie. Kiedy opowiada o tym, że dołączył do grupy wojska, żeby bohaterstwo walczyć za ojczyznę, uśmiecha się pod nosem wypowiadając słowo „bohaterstwo”. Jest człowiekiem, który z dystansem i ze smutkiem patrzy na historię.*

### Osiemnaste urodziny

Urodziłem się 1 września 1921 roku w Grudziądzu. W dniu wybuchu wojny skończyłem dokładnie 18 lat. Wydawało się, że wybuchy artylerii w mieście celebrowały moje wstąpienie w dorosłość.

Kiedy wybuchła wojna czekałem na powołanie do służby wojskowej. Trzeciego dnia dostaliśmy wiadomość, że Niemcy okrążają Grudziądz, więc zaczęliśmy z bratem uciekać. Uciekliśmy do Torunia, gdzie dołączyłem do grupy wojska, a raczej do grupy rozbitków, żeby „bohaterstwo” walczyć za ojczyznę. Później nawet dali mi mundur i karabin... Pamiętam, że w ciągu dnia siedzieliśmy w lasach, a nocą przemieszczaliśmy się. Tak doszliśmy mniej więcej do okolic Kutna. Za dnia nie wolno się było za dużo ruszać, ponieważ

więzało się to z ryzykiem: z łatwością stalibyśmy się ofiarami niemieckich patroli samolotowych.

Pamiętam, że któregoś dnia ukrywaliśmy się przed nalotami niemieckimi w stodole. Nagle zobaczyłem na horyzoncie grupę polskich żołnierzy. Szli w naszą stronę, po czym zniknęli mi z pola widzenia. Wyszedłem więc ze stodoły, zbliżyłem się do płotu, otworzyłem furtkę i jak tylko wystawiłem głowę, zobaczyłem Niemca stojącego o krok ode mnie z wymierzoną we mnie lufą karabinu. I tak właśnie wzięli mnie do niewoli i tu skończyła się moja „bohaterska” walka o ojczyznę. To było we wrześniu 1939. Trzy dni byłem w niewoli, a potem uciekłem. Wróciłem do Grudziądza, gdzie poszedłem do Urzędu Pracy i powiedziałem, że mam już maturę i mogę pracować. Wysłali mnie więc do niemieckiego obozu pracy, ale to było parszywe miejsce – po paru tygodniach uciekłem wraz z młodszym bratem Leszkiem. Ten obóz znajdował się w Polsce, pod Grudziądzem. Wróciliśmy do domu, do rodziny i nie chcieliśmy ponownie trafić do obozu pracy. Mój ojciec był bibliofilem, miał cenne i bardzo ładne książki, a szczególnie jedna była wyjątkowa: rosyjskie, ilustrowane wydanie badań niemieckiego ornitologa. To była śliczna publikacja w pięciu tomach. Pamiętam, że ojciec komuś podarował tę książkę w prezencie, w zamian za co my dostaliśmy przepustki na wyjazd do Warszawy. Chciałem uciec z Grudziądza do Warszawy, żeby nie wracać do obozu pracy.

## **Warszawa**

Do Warszawy pojechaliśmy w lutym 1940 roku. Stamtąd już nie wróciliśmy do domu. Na początku pracowałem, gdzie się dało, a później poszedłem do niemieckiego Urzędu Pracy i zostałem tam zatrudniony jako urzędnik. Moim zadaniem było pisanie raportów. Pracowałem tam około trzech

lat, aż do wybuchu powstania<sup>[1]</sup>. Miałem dokument stwierdzający, że pracuję w Urzędzie Pracy, więc jak organizowano jakieś łapanki, byłem w miarę bezpieczny. Ale do końca bezpieczna ta praca nie była. Pracowaliśmy w niemieckiej instytucji i wiedzieliśmy, że było dużo ludzi z wywiadu, którzy nas kontrolowali. A przecież my, Polacy, którzy tam pracowaliśmy, mieliśmy także własną działalność konspiracyjną, więc za chwilę nieuwagi przy pracy można było dostać kulkę. Ja tam wystarczająco dużo rzeczy robiłem takich, że gdyby Niemcy się o tym dowiedzieli, to albo kula w łeb albo Oświęcim. Pracowałem – oficjalnie pisałem papierki. Ale co ja robiłem poza tym, to już inna sprawa. Pisałem raporty: kto jest taki i taki, kto robi to i tamto... pisałem to dla Polaków. Bo do tego urzędu zostałem wprowadzony przez organizację polską. Byłem wtyczką. Fałszowaliśmy dokumenty. Ta cała praca konspiracyjna była bardzo luźna – w takich podziemnych organizacjach przecież nie ma dyrektora, listy obecności, przerwy obiadowej itd. Dla Niemców pracowali wszyscy, ale wiele osób miało równoległe pracę w podziemiu. Parę tygodni nawet w domu nie spałem ze strachu, żeby mnie nie złapali.

Pamiętam, że któregoś dnia mój starszy brat, Tadeusz, który był lekarzem, wrócił do domu roztrzęsiony. Opowiedział, że kiedy szedł ulicą koło getta, zobaczył małą dziewczynkę, blondyneczkę, która stała przy murze po zewnętrznej stronie getta i rzucała kawałki chleba do środka. Dziewczynka mogła mieć sześć lat. Niespodziewanie zbliżył się do niej gestapowiec, gwałtownie wyrwał jej z rąk chleb i zastrzelił ją z pistoletu. Kiedy to usłyszałem, byłem wstrząśnięty. Taka była codzienność warszawska jeszcze przed powstaniem.

Mieszkałem z młodszym bratem, Leszkiem, który potem się wplątał w bojkówkę polsko-żydowską. Złapali go i zastrzelili.

---

<sup>1</sup> Powstanie Warszawskie wybuchło 1 sierpnia 1944 roku.

Wiedzieliśmy, że musimy jak najdłużej przetrzymać, a potem chwycić za karabin i strzelać do Niemców. Taka okazyja nadarzyła się w sierpniu 1944 roku. Niemcy doskonale wiedzieli, że będzie powstanie, ale nie mogli już nic zrobić. Ja też walczyłem, strzelałem z karabinu.

W czasie powstania nie było prawie nic do jedzenia. Pamiętam taką sytuację, kiedy siedziałem z kolegami w jakimś pomieszczeniu – na stole leżała tylko jedna cebula i stała butelka wódki. Patrzyliśmy się na tę cebulę, ale nikt nie odważył się jej dotknąć. Jedna butelka też na długo nie wystarczyła.

Byłem w stolicy do 5 października 1944 roku. Wtedy, już po Powstaniu Warszawskim, wzięli nas do niewoli.

## **Obóz jeniecki**

Po powstaniu poszedłem do obozu jenieckiego przy granicy szwajcarskiej. Poszedłem tam, jako podoficer, więc nie tykali mnie. Trzeba było jakoś żyć, pracować... Kwitł handel, wymienialiśmy papierosy na chleb. Mieszkaliśmy w drewnianych barakach, w każdej sali były dwupiętrowe łóżka. Były to dosyć prymitywne warunki, ale co jakiś czas wysyłali nas do łaźni. Nawet ubrania czasem nam dezynfekowali. Na podstawie umowy genewskiej Niemcy nie mogli nam zrobić krzywdy.

Pamiętam, że kiedyś miałem kawałek mydła, które było wówczas na wagę złota, szczególnie dla niemieckiej ludności cywilnej. My przynajmniej dostawaliśmy paczki z Czerwonego Krzyża, w których znajdowały się mydło, papierosy i kawa. Wyszedłem więc na miasto i chciałem zrobić handel z pewną starą Niemką. Podałem jej ten kawałek mydła, żeby wymienić je na coś innego i natychmiast tę biedną kobietę capnęło gestapo. Po raz pierwszy zrobiło mi się żal Niemca. To była bidna stara kobita. Widać było, że to było biedactwo,

ledwo żyła. Tak mi się jakoś przykro zrobiło.

Byłem w tym obozie siedem miesięcy. Kiedy stamtąd wyszedłem, pojechałem do Włoch i od razu po przekroczeniu granicy zapomniałem język niemiecki. Poczułem, jakby w moim mózgu opadła kurtyna.

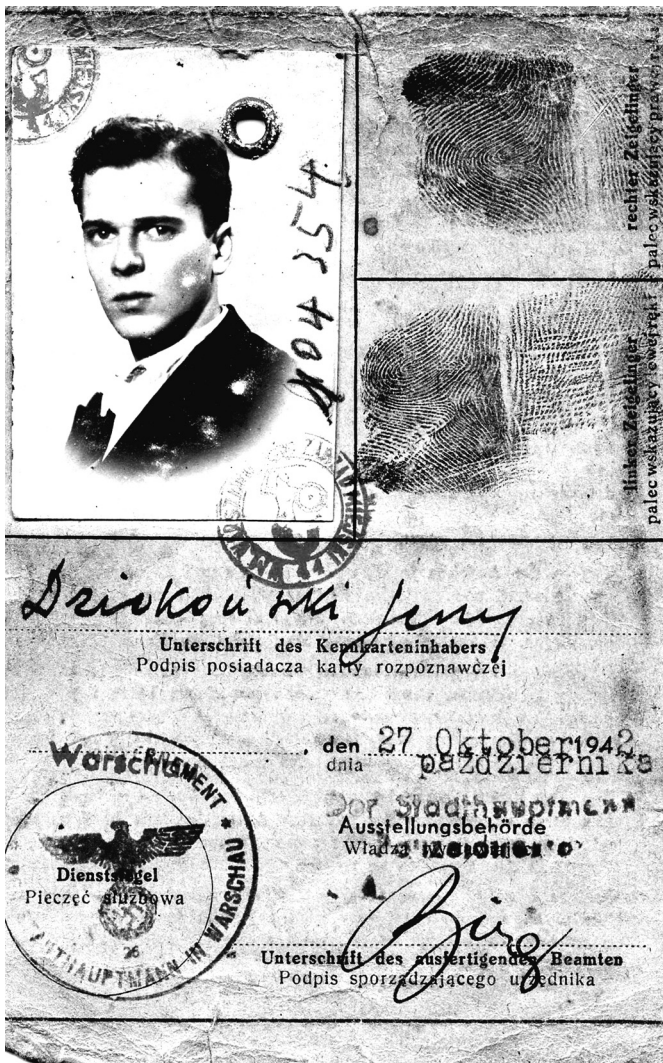
## Anglia

Byłem w wojsku pod komendą angielską, nie mogłem być zdemobilizowany we Włoszech, wobec czego zdemobilizowali mnie w Anglii. Tam zostałem po wojnie. Do Chile wtedy było trudno wyjechać, pamiętam, że były kłopoty z wizą. Ja w ogóle o Chile nie myślałem. Poza tym moja matka mieszkała w Polsce i jeździłem prawie każdego roku ją odwiedzić. Jeździłem do niej na motocyklu. Najpierw chciałem pojechać do Australii – przyjęli mnie na komisję, lekarz popatrzył, stwierdził, że mam kategorię A1. Musiałem jeszcze tylko zrobić rentgen. Wróciłem szczęśliwy do domu, powiedziałem Mirkowi, mojemu bratu, że może wyjadę do Australii, a Mirek na to: – *Nie, nigdzie nie jedź, zostajemy w Anglii!*

Zostałem. Mieliśmy zamiar kupić taką małą farmę koło Londynu, gdzie była hodowla kur i pięć świń. Wobec tego ja zdecydowałem, że pojedę nauczyć się prowadzić farmę. Pojechałem do Szkocji na dwa miesiące, zrobiłem kurs hodowli kur (jeszcze dziś niektóre rzeczy pamiętam) i poszedłem robić praktyki na farmę szkocką, gdzie była hodowla świń. Było tam dwóch ludzi i siedemset świń. To była zupełnie inna organizacja pracy. No i mieli dwóch pomocników: mnie i innego polskiego oficera. Miałem się nauczyć, chciałem mieć doświadczenie, żeby własną farmę prowadzić. Wracam ze Szkocji, spotykam się z Mirkiem, a on mi oznajmia, że jedzie do Chile. Ja zostałem czterdzieści lat w Anglii, gdzie pracowałem jako farmaceuta. Do Chile przy-



jechałem dopiero w 1986 roku. Tutaj mieszkają inni ludzie, o zupełnie odmiennej mentalności od Anglików.



Karta rozpoznawcza Jerzego Dziekońskiego,  
Warszawa 1942.

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25
<b>Personalkarte I: Personelle Angaben</b>																				Beschriftung der Gefangenenskarte 378 104354				
Kriegsgefangenen-Stammlager: M. Stammlager 344																				Lager: 378				
Name: <b>DZIEKOŃSKI (Jaworzynski)</b>										Staatsangehörigkeit: <b>Polen</b>														
Vorname: <b>JERZY</b>										Dienstgrad: <b>Unteroffizier Uffz.</b>														
Geburtsort: <b>1.9.1921 in Grudziądz</b>										Truppenteil: <b>AK-15 Inf. Pol. Skomp. ufw.</b>														
Religion: <b>Röm-kath.</b>										Zivilberuf: <b>Verkäufer</b> Berufs-Ort:														
Vorname des Vaters: <b>Feliks</b>										Matrikel Nr. (Stammrolle des Heimatortes): <b>17020</b>														
Familienname der Mutter: <b>Jazwińska</b>										Gefangenschaft (Ort und Datum): <b>5.10.44 Warschau</b>														
Ob gesund, krank, verwundet eingeliefert:										Ob gesund, krank, verwundet eingeliefert:														
Sichtbild										Nähere Personalbeschreibung														
										Größe: <b>177</b>				Haarfarbe: <b>schwarz</b>				Besondere Kennzeichen:						
Abdruck des rechten Zeigefingers														Name und Anschrift der zu benachrichtigenden Person in der Heimat des Kriegsgefangenen										
										1. <b>Dziekońska Helena - Warschau</b> <b>Przeskok str. 2 w. 7</b> 2. <b>jęcieł, Skibiński - Warschau</b> <b>Smialostki 25</b>														
Des Kriegsgefangenen										Wenden!														

Karta jeniecka Jerzego Dziekońskiego, 1944.



## MICHAŁ KURASZ

Michał Kurasz urodził się 29 września 1923 roku w miejscowości Iskań, niedaleko Przemyśla. Syn Jana Kurasza i Stanisławy z domu Furczak. Przyłynął do Chile w 1949 roku statkiem „Marco Polo”. Mąż Polki spod Lwowa, Aurelii Zajączkowskiej, ojciec Gabrieli (1953) i Artura (1957).

## MICHAŁ KURASZ

*Przy ulicy Irarrázaval w dzielnicy Ñuñoa w Santiago de Chile mieści się elegancka kawiarnia „Condi”. Wchodzę, siadam przy stoliku i czekam na jej właściciela. Po chwili zjawia się uśmiechnięty Michał Kurasz i zamawiamy pierogi z ziemniakami i serem. To chyba jedyny lokal w Santiago, gdzie można zjeść pierogi, a na deser nasze polskie mazurki. Można poczuć się tu jak w domu – swojskie zapachy i smaki przybliżają rodzinne strony. Michał Kurasz mówi piękną polszczyzną, waży każde słowo, co pewien czas zatrzymuje się na chwilę, milczy i patrzy gdzieś daleko, jakby przypominając sobie widoki z Bieszczad, skąd pochodzi. Kiedy pytam się o jego pasję, jaką jest cukiernictwo, odpowiada: – Jestem cukiernikiem ponieważ po trzech latach jedzenia wyłącznie zupy kartoflanej podczas wojny, nigdy więcej nie chciałem zaznać głodu.*

### Wojna

Miałem szesnaście lat, kiedy wybuchła wojna. Byłem wtedy w domu, kiedy nagle wszedł tata i powiedział:

*– Michał, wojna się zaczęła!*

Poczułem wtedy taki wielki smutek wewnętrzny, że nawet nie chciałem tego ojcu mówić. Czułem, jakbym miał kamień na sercu. Bolało mnie to, że Polska zostanie niewolnikiem. To był wrzesień 1939 roku.

W 1942 roku dostałem zawiadomienie, że muszę się zgłosić do koszar w Przemyślu. Stamtąd nie mogłem już wrócić do domu. Z koszar Niemcy wywieźli nas pociągami to-

warowymi do obozów przymusowej pracy. Przez cały dzień i przez całą noc dali nam tylko wodę do picia.

W obozie żywili nas liśćmi brukwi, do których dodawali parę kartofli, z czymś to jeszcze mieszała, żeby było trochę bardziej gęste. Na dzień jedliśmy jedną menażkę takiej zupy. Obóz znajdował się na terenie lotniska w miejscowości Flughafen, niedaleko Plattling. Pracowaliśmy przy budowie bunkrów, w których Niemcy ukrywali swoje samoloty. Obóz pracy powstał w miejscu, gdzie wcześniej była stajnia dla krów. Można się było tego domyślić, ponieważ prycze, na których spaliśmy, były zrobione ze żłobów. Na każdej z prycz spało trzech mężczyzn. Obóz był ogrodzony drutami elektrycznymi, na wieżyczkach strażniczych stali uzbrojeni w karabiny maszynowe żołnierze niemieccy. Codziennie o piątej trzydzieści rano przychodził strażnik z gwizdkiem, żeby nas obudzić. A o dziewiątej wieczorem wyłączali nam już światło. Opowiadaliśmy więc sobie z chłopakami kawały po ciemku, aby podtrzymać się na duchu. Nie wiedzieliśmy, co przyniesie kolejny dzień.

W dniu wyzwolenia o godzinie piątej trzydzieści nikt nie zagwizdał na pobudkę.

Jeden z kolegów powiedział: – *Położcie się na ziemi i przyłóżcie ucho do podłogi.* Słyszeliśmy, jak z daleka nadjeżdżały czołgi – zbliżali się Amerykanie. Zaczęliśmy się zbierać, wychodzić przed barak i zobaczyliśmy, że na wieżyczkach nie było już żołnierzy z karabinami. Potem podjechał czołg amerykański z białą flagą. Wtedy każdy z nas złapał, co mógł i zaczęliśmy uciekać z obozu. Chowaliśmy się w zbożu, bo zboże wtedy było bardzo wysokie.

Kiedy skończyła się wojna miałem 22 lata, ważyłem 38 kilogramów. W obozie przymusowej pracy byłem prawie trzy lata. Od grudnia 1942 do wyzwolenia przez wojsko ame-

rykańskie 3 maja 1945 roku. Dokładnie pamiętam tę datę.

W grudniu 1945 zabrałem się z jednostką amerykańską do Austrii. Najpierw myłem talerze w kuchni, potem wzięli mnie do pomocy, aż w końcu zacząłem pracować prywatnie i uczyć się cukiernictwa. Nie wiedziałem, co się stało z moimi rodzicami podczas wojny. Któregoś dnia dostałem list ze stemplem Czerwonego Krzyża. To był list od ojca. W ten sposób dowiedziałem się, że żyją. Napisałem do nich list, że bardzo za nimi tęsknię i że chciałbym ich zobaczyć, ale jednocześnie prosiłem ojca o radę, co robić, gdyż miałem możliwość wyjazdu za granicę. Na to ojciec odpisał mi: *Michał, do domu zawsze możesz wrócić*. Wówczas każdy list przechodził przez cenzurę, zrozumiałem więc, że ojciec nie mógł mi więcej napisać. To dla mnie oznaczało jedno: *Nie wracaj*. Wielu chłopaków w moim wieku wróciło po wojnie do Polski – od razu trafiali do koszar, musieli odbyć obowiązkową służbę wojskową. Cztery lata. Ja tego nie chciałem. Ja chciałem w życiu coś zobaczyć, czegoś się nauczyć, zdobyć jakiś zawód.

W Austrii mieszkałem od grudnia 1945 do grudnia 1948 roku. Pamiętam, że przyjechała ze Szwajcarii komisja Czerwonego Krzyża i zaczęto wszystkich spisywać, bo po wojnie nikt nie miał dokumentów. Od nich dostawaliśmy też jedzenie, żywiliśmy się w takiej dużej kuchni polowej. W Austrii nauczyłem się też tańczyć. To był okres po wojnie, kiedy każdy chciał nadrobić stracony czas - tańczyć, poznawać dziewczęta, bawić się. Ja miałem wielką obsesję, żeby ożenić się z Polką. Kiedy słyszałem przypadkiem w Austrii głos polskiej dziewczyny, to szalałem. Tak też poznałem moją obecną żonę.

Kiedys, jak wspominałem moją przeszłość, to mia-



łem wrażenie, jakbym był w kinie. Teraz, jak patrzę na moje życie, to przedstawia mi się ono jak sen. Czasem wydaje mi się, że ja nie żyję. Tylu ludzi przecież umarło. Ale teraz myślę, że miałem anioła stróża, który mnie tu przywiózł i mnie uchronił.

## Podróż do Chile

W grudniu 1948 roku wypłynąłem statkiem z Genui do Chile dzięki IRO<sup>1</sup>. Cała podróż była możliwa dzięki tej organizacji. W Niemczech zostały miliony ludzi, których Niemcy zabrali przymusowo do pracy: Rosjanie, Polacy, Rumuni, Węgrzy, Bułgarzy, Grecy, Czesi, Słowacy... Ludzie, którzy po wojnie znajdowali się w tej części Niemiec, która została wyzwolona przez Stany Zjednoczone, pojechali na Zachód, natomiast ci, którzy znajdowali się na terenach, które zajęła Rosja, musieli wrócić do własnych krajów. Gdybym wrócił wtedy do Polski, musiałbym natychmiast wstąpić do wojska. Obowiązkowe cztery lata...

Kiedy byłem w Austrii nauczyłem się angielskiego, żeby wyjechać do Stanów Zjednoczonych. Lecz do Stanów brali głównie naukowców i inżynierów, byle kogo nie brali. Moją nauczycielką angielskiego była pewna pani, która pracowała w komisji emigracyjnej IRO. Kiedy zaproponowała mi, żebym wyjechał do Chile, zapytałem: *– A gdzie to w ogóle jest?* Ona wówczas wyciągnęła z szuflady mapę i pokazała mi na niej taki wąziutki kraj. Zgodziłem się.

W grudniu 1948 roku wypłynąłem statkiem „Marco Polo” z portu w Genui do Chile. Podróż trwała dwadzie-

---

<sup>1</sup> *International Refugee Organization (IRO)* – Międzynarodowa Organizacja Uchodźcza.

ścia sześć dni. Na statku było około tysiąca dwustu osób, wielu Włochów, którzy wysiadali kolejno w Wenezueli, potem w Peru, a na samym końcu już wszyscy wysiedli w Chile. Na statku było fantastycznie! Od razu po wejściu na pokład zgłosiłem się do kuchni i przyjęli mnie bez żadnego problemu. Nie chciałem za to pieniędzy, chciałem po prostu pracować. W ten sposób miałem możliwość wstępu do pierwszej klasy, wieczorami mogłem chodzić na potańcówki, pić wino, tańczyć z eleganckimi paniami... Nieważne, że niektóre z nich wyglądały tak, że z łatwością mógłbym być ich synem lub wnukiem.

### **Przyjazd do Chile – pierwsze wrażenia**

Przestraszyłem się, kiedy wysiadłem ze statku w porcie w Valparaiso. Zobaczyłem te drewniane domki wiszące na wzgórzach... Nocą oświetlone miasto wyglądało jak drzewko bożonarodzeniowe, ale w świetle dnia było nieco przerażające.

Nikt po mnie nie przyszedł, nie miałem jeszcze żadnego kontraktu i pomyślałem sobie:

*– Po co ja tu w ogóle przyjechałem?*

Zastanawiałem się przez chwilę, czy mogę z powrotem wsiąść na statek, którym przyплыłem i wrócić natychmiast do Europy.

Szybko podzielono nas na różne grupy. Jakaś urzędniczka z IRO wywołała mnie, dwóch Litwinów, dwóch Jugosłowian i Rosjanina i zabrała nas do Santiago. Kiedy tak jechaliśmy pociągami z Valparaiso do Santiago baliśmy się trochę, że zza pagórków wyskoczą nagle Indianie i będą do nas strzelać z łuków.

Lecz po pierwszych dniach tutaj zrozumiałem, że

to raj na ziemi: owoce, dużo owoców... Tu było wszystko. A my przyjechaliśmy po wojnie i wszystko oszczędzaliśmy, każdy kawałek chleba. Po przeżytej wojnie czułem się jak lis, który ucieka przed myśliwymi, a uciekając chowa ogon między nogi.

Przecież ja jestem cukiernikiem dlatego, że po trzech latach jedzenia wyłącznie zupy kartoflanej, nigdy więcej nie chciałem zaznać głodu.

## **Miłość**

Moją żonę, Aurelię Zajączkowską, poznałem w 1948 roku w obozie przejściowym w Niemczech, skąd ludzie emigrowali na cały świat. Miliony ludzi, którzy pracowali w obozach w Niemczech, czekały na wyjazd z Europy, głównie do Ameryki Północnej lub Południowej. Dawali nam śniadania, obiady i kolacje, jedliśmy we wspólnej kuchni. Stoję któregoś dnia w kolejce do jadalni i nagle słyszę taki miły polski głos. Nawet nie odważyłem się odwrócić głowy, żeby zobaczyć, do kogo on należy. Zakochałem się w tym głosie. Potem ukradkiem zauważyłem kolor jej oczu i ustąpiłem jej miejsca w kolejce. Ładnie mi podziękowała. To było wszystko. Nic więcej o niej nie wiedziałem poza tym, że miała na imię Aurelia. Miałem płynąć tym samym statkiem, co ona, jej matka i jej siostra, lecz nas siedmiu zostawiono na lądzie: mnie, dwóch Litwinów, jednego Rosjanina i dwóch Jugosłowian. Powiedziano nam, że nie było już dla nas miejsca. A ona wsiadła na statek i popłynęła do Chile, z Hamburga. Ja popłynąłem pięć miesięcy później następnym transportem z portu w Genui. Ona przyплыła w lipcu 1948, a ja w styczniu 1949.

W Chile mieszkał ksiądz Skowronek, wicerektor Uniwersytetu Katolickiego, który zajmował się kolonią polską i organizował polskie msze. Któregoś dnia, po nabożeństwie,

spotkałem się z Aurelią i z jej rodzicami. Często widywaliśmy się w kościele, ale nic między nami nie było. Pewnego razu, wracając z pracy, spotkałem ją na przystanku, przywitaliśmy się i umówiliśmy na kino. Zaczęliśmy się widywać raz na tydzień, w sobotę albo w niedzielę. Rodzice Aurelii nakazywali nam zawsze wychodzić w towarzystwie jej siostry. Spotykaliśmy się tak przez trzy miesiące. Dopiero po trzech miesiącach zaczęliśmy sobie mówić na ty. Któregoś dnia po kinie zaprosiłem Aurelię na herbatę. Wtedy mi powiedziała, że ma poważne plany na przyszłość. Jak to usłyszałem, od razu zrozumiałem o co chodzi. Nie byłem wówczas jeszcze gotowy na małżeństwo, nie chciałem jej zawieść. Najpierw miałem w planach trochę popracować, coś zaoszczędzić... Wiedziałem, że niewiasty lubią wygodne życie, to przecież jest w ich naturze... Lecz wtedy jeszcze nie mogłem jej tego zagwarantować. Aurelia odpowiedziała mi na to:

*– Nie bój się, będziemy pracować razem i się dorobimy.*

To mi bardzo zaimponowało. Nigdy nie spodziewałem się tak niewinnego i spontanicznego gestu ze strony tej delikatnej kobiety. Pobraliśmy się 17 listopada 1951 roku. Ślubu udzielił nam ksiądz Skowronek.

## **Praca w Chile**

Odkąd przyjechałem do Chile, od razu zacząłem ciężko pracować. Po pracy przychodziłem do domu, do tych wynajętych czterech ścian i czułem, że się duszę. Czasem z tęsknoty płakałem. Pracowałem dwa lata w hotelu Carrera – to była moja pierwsza praca. Ale miałem duże aspiracje i chciałem spróbować pracować na swoim. Z czasem zacząłem dobrze zarabiać, kupiłem pierwsze maszyny do cukierni, potem samochód, najpierw używany, po jakimś czasie nowy, w końcu kupiłem także dom.

Byłem ogromnie ciekawy, jaka tu będzie nasza przyszłość.

Z czasem zauważyłem, że chyba nigdy nigdzie nie bylibyśmy tak dobrze przyjęci, jak tutaj, w Chile. Ten naród nie jest zazdrosny, posiada wartości. Chilijczycy starają się zawsze każdemu pomóc albo pokazać drogę. Kiedy moja żona była w ciąży, nasza sąsiadka, Chilijka, zaczęła bezinteresownie przynosić jej każdego dnia ciepłe obiady.

### **Kontakty z Polonią chilijską**

Najbardziej zgadzałem się z dwoma Polakami: z Kocikiem i Bronkiem Bularzem. Kocik miał hodowlę kur (miał ich dziesięć tysięcy, zawsze dostarczał mi jajek), a Broniek miał warsztat samochodowy. Z nimi czułem się najlepiej. Na ogół Polacy są zarozumiali i bardzo pewni siebie. Cenią człowieka, jeśli jest bogaty lub jeśli ma jakiś ważny tytuł. Ale normalnie nie lubią się między sobą. To było często dla mnie bolesne. Pamiętam, jak kupiłem pierwszy samochód i wyjeżdżając z podwórka spotkałem pewną Polkę, która szepnęła z ironią do swojej koleżanki: – *O, popatrz, ile już na ciastkach zarobił!*

Zdałem sobie sprawę, że uczciwą pracą rąk można sobie polepszyć byt. Ja cenię sobie życie spokojne, ciche, wesołe. Trzeba być wytrwałym. Każdy człowiek ma jakieś zalety, ale nie każdy o tym wie. Uczciwa praca uwalnia i uszlachetnia człowieka. Bardzo mało ludzi to odczuwa. Na żadnym uniwersytecie o tym nie mówią.

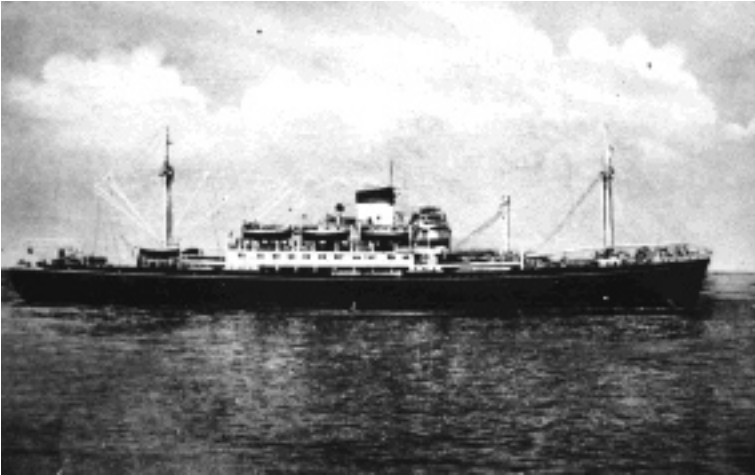
Choć los tak srogi  
 Rzucił Cię w dalekie kraje  
 Pamiętaj tylko o jednym  
 Mój drogi  
 Że jesteś synem  
 Wielkiej Ojczyzny  
 Nam drogiej.

Choć ktoś Ci powie  
 Że Ona nie żyje  
 Nieprawda odpowiesz,  
 Ojczyznę ma  
 W sercu kryje

Na naszej w wspólnej młodości  
 Spoczywa odbudowanie  
 Naszej przyszłości.

Im pamięci szczeremu  
 Michasiowi w piśmie  
 Łukasik Jan

Wpis kolegi Michała Kurasza w obozie przymusowej pracy, Plattling 1943.  
 Choć los tak srogi/ Rzucił Cię w dalekie kraje,/ Pamiętaj tylko o jednym/  
 Mój drogi/ Że jesteś synem/ Wielkiej Ojczyzny/ Nam drogiej./ Choć ktoś Ci powie/  
 Że Ona nie żyje/ Nieprawda odpowiesz/ Ojczyznę ma/ W sercu kryje./ Na naszej  
 wspólnej młodości/ Spoczywa odbudowanie/ Naszej przyszłości./ Ku pamięci  
 szczeremu/ Michasiowi w piśmie/ Łukasik Jan // Plattling, 26 XII 1943.



Statek „Marco Polo”, którym Michał Kurasz  
przyłynął do Chile w 1949 roku.

## DAWID FAJERSZTEIN

Dawid Fajersztein urodził się w 1925 roku w Chęcinach. Syn Schmuela Zindla (1896-1943) i Hendile (1901-1943). Najstarszy z pięciorga rodzeństwa. Jedynie on i jego młodszy brat Józef ocaleli, podczas gdy jego rodzice i troje rodzeństwa (Cirele, Abraham Abe i Leibele) zostali zagazowani w Oświęcimiu w 1943 roku.





## DAWID FAJERSZTEIN

*Dawid Fajersztein przyjmuje w swoim gabinecie w jednym z wieżowców w centrum Santiago, niedaleko Pałacu Prezydenckiego. Z okna widać ośnieżone szczyty Andów i oszklone drapacze chmur. Jego figura zapada się w czarnym skórzanym fotelu, a twarz tajemniczo ukrywa się za smugą dymu z cygara. Na ścianach gabinetu wiszą jego zdjęcia w towarzystwie chilijskich prezydentów i izraelskich polityków. Dawid Fajersztein jest osobą wpływową w środowisku politycznym, jeździ po świecie, w Chile spędza zaledwie kilka miesięcy w roku. Niedawno został mu nadany tytuł doktora honoris causa na Uniwersytecie Yeshiva w Nowym Jorku. Lecz gdy zaczyna wspominać lata swojego dzieciństwa i śmierć najbliższych w Oświęcimiu, maska wielkiego „empresario”<sup>1</sup> nagle opada. Niespodziewanie daje się poznać jako człowiek skrywający w sobie niewypowiedziane cierpienie. Podwijając rękaw garnitur, by pokazać swój numer wytatuowany w obozie koncentracyjnym, oznajmia: – Przeżyłem po to, by o tym mówić, by nikt o tym nie zapomniał.*

### Dzieciństwo

Urodziłem się w 1925 roku w Chęcinach, niedaleko Kielc. Chęciny to mała wioska, której połowa mieszkańców przed wojną była pochodzenia żydowskiego. Była tam nawet synagoga, która dziś działa jako centrum młodzieżowe i sala balowa. Pamiętam, że mieszkaliśmy przy ulicy Radkowskiej 42. Mój tata nazywał się Schmuel Zindel, a mama – Hendile.

---

<sup>1</sup> *Empresario* (hiszp.) – przedsiębiorca.

Moi rodzice pobrali się w Chęcinach w 1924 roku, ja jestem ich pierwszym synem i najstarszym z pięciorga rodzeństwa. Wojnę przeżyłem tylko ja i mój młodszy brat – Józef, reszta mojej rodziny została zagazowana w Oświęcimiu.

W Polsce moje nazwisko brzmiało Fajersztein, natomiast tu, w Chile – Feuerstein. W Chęcinach mieszkali również moi dziadkowie od strony ojca – Isaac Mordejai i Rachel, od strony matki – Aba i Frimet. Niektórzy z moich wujków już na długo przed wojną wyemigrowali do Kolumbii.

Kiedy byłem mały przeprowadziliśmy się z Chęcina do Sosnowca, gdzie moi rodzice założyli mleczarnię. Produkowali sery i inne wyroby mleczne, a poza tym mieli hodowlę drobiu. Pamiętam, że klienci przyjeżdżali do taty nawet z Katowic i zaopatrywali się u nas w jedzenie koszerne. Sosnowiec miał wówczas około 120 tysięcy mieszkańców, z których prawie połowa była Żydami. Pamiętam, że któregoś wieczora, kiedy jedliśmy kolację, tata zaczął po raz pierwszy mówić na temat nienawiści, którą żywią wobec nas Niemcy. Nie rozumiałem jeszcze wtedy, co chciał przez to powiedzieć. Wkrótce przekonałem się o tym na własnej skórze. Kiedy w sierpniu 1939 roku pojechałem z kolegami szkolnymi na obóz w rejonie graniczące z Niemcami, zobaczyłem uzbrojonych żołnierzy, wzmocnienia, czołgi... Powoli zaczynałem rozumieć.

## Wojna

Kiedy wybuchła wojna miałem czternaście lat. W pierwszym dniu wojny poszliśmy z tatą do mleczarni. Ludzie poprzychodzili z wózkami, żeby wykupić jak najwięcej jajek, serów i mleka.

3 września Niemcy wywieźli mnie pociągiem poza Sosnowiec, ale po drodze udało mi się uciec. Ponad tydzień ukrywałem się w lesie. Tęskniłem za rodzicami i piechotą

doszedłem w końcu do domu. Kiedy dotarłem do Sosnowca nie mogłem rozpoznać tego miasta. Widziałem same gruzy, spalone lub płonące jeszcze domy, zniszczoną synagogę. W ciągu dwóch tygodni miasto zostało doszczętnie zniszczone. Niemcy prędko zaczęli zakładać getto. Musiałem się zgłosić do pracy. Zacząłem pracować jako śmieciarz w Katowicach. Codziennie wracałem do domu tramwajem, nocą, już po godzinie policyjnej. Pamiętam, że któregoś dnia, zbierając śmieci, poszedłem na tyły restauracji, z której co jakiś czas udawało mi się zdobyć jakieś resztki jedzenia. Tego dnia miałem szczęście, bo trafiłem na odpadki z rybich głów. Byłem zachwycony i z satysfakcją zawiązałem zdobycz w papier od gazety. Wiedziałem, że w domu zrobimy z tego wielką ucztę. Kiedy wracałem tramwajem do Sosnowca, zbliżyli się do mnie Niemcy, zaczęli mnie bić i ubliżać. Wyrzucili mnie z tramwaju i kopali na ulicy wypytyując się, co robię, gdzie jadę i gdzie mieszka moja rodzina. Wiedziałem, że nie mogę wydać mojej rodziny, powiedziałem więc tylko, że jestem śmieciarzem. Zaczęli się śmiać z rybich głów, które mocno ścisnąłem w dłoniach, żeby ich nie stracić. Po jakimś czasie zostawili mnie i poszli sobie. To był początek wszystkich innych upokorzeń, które miały mnie spotkać w ciągu najbliższych lat.

W niedługim czasie gestapo zaczęło skrupulatnie kontrolować żydowskie rodziny mieszkające w getcie. Straciliśmy wszelką swobodę, wszystko było pod nadzorem. Niemcy rozbijali rodziny, wysyłając chłopców i mężczyzn na przymusowe roboty do Trzeciej Rzeszy. Któregoś ranka weszli do naszego domu, kazali nam natychmiast wyjść na ulicę i zaprowadzili nas na stadion. Tatę, mnie i Józefa wysłali do pracy.

Mnie wywieźli do pracy przy centrali energii elektrycznej, gdzie udało mi się przeżyć tylko dzięki temu, że w krótkim czasie nauczyłem się obsługiwać dźwig. To mnie

uratowało. W obozie pracy przymusowej nie było tak strasznie, jak to sobie z początku wyobrażałem. Jednak tęsknota za moją rodziną była tak wielka, że zacząłem się zastanawiać nad uciezką. Któregoś dnia narysowałem mapę, którą pokazałem mojemu koledze. Plan był dobry. Myślę, że udało by nam się uciec, gdyby esesmani nie zrewidowali nas i nie znaleźli szkicu mapy. Zaczęli nas natychmiast bić tak mocno, że straciłem przytomność i doszedłem do siebie dopiero po kilku dniach. Nie zabili mnie tylko dlatego, że byłem im potrzebny do obsługi dźwigu. W przeciwnym razie zapewne byłby to mój koniec.

## **Obóz koncentracyjny**

Jesienią 1942 roku wywieziono nas transportem do Oświęcimia. Obóz był tak przepełniony, że w kilka dni później znaleźliśmy się w Brzezince. Stamtąd już niewiele osób miało szansę się wydostać. Była jesień, dni robiły się chłodne, wietrzne i szare.

Pamiętam szereg zabiegów, którym zostaliśmy poddani na wstępie: wszystkim ostrzyżono włosy i wytatuowano numery. Bardzo mnie bolało, gdy niezdezynfekowaną igłą nakłuwali moje przedramię. Oczywiście zaraz dostałem infekcji i cała ręka strasznie mi spuchła. Minęło dużo czasu zanim rana się zagoiła. Do dziś mam po tym pamiętkę: 160023.

Później dali nam pasiaki. Mnie zostały przydzielone spodnie, które były dla mnie o wiele za długie, oraz równie za duża koszula. Drewniane trepy, oprócz tego, że były bardzo niewygodne, powodowały opuchliznę i rany na stopach, które uniemożliwiały chodzenie, nie wspominając nawet o wykonywaniu pracy. A więzień, który był niezdolny do

pracy, zostawał natychmiast wysyłany do gazu lub na miejscu rozstrzeliwany. W obozie nie było miejsca dla osób nieprzydatnych.

W międzyczasie zaczęły dochodzić nas słuchy o wybuchu powstania w getcie warszawskim, które niestety zakończyło się przegraną powstańców. Któregoś dnia usłyszałem, że komisja obozowa ma dokonać selekcji tysiąca więźniów, którzy pojedą do stolicy, by porządkować ruiny tego, co zostało po getcie. Wyobrażam sobie, że każdy marzył o możliwości wyjazdu z obozu koncentracyjnego, jednak trzeba było spełnić szereg wymogów. Po pierwsze, do Warszawy mogli pojechać Żydzi, którzy nie byli polskiego pochodzenia. Po drugie, musieli być silni i młodzi. Ja nie spełniałem żadnego z tych warunków, oprócz tego, że byłem młody. Ale do tego byłem sprytny. Z mojego bloku powybiali najwięcej Żydów z Holandii, Belgii i Francji. A ja wtedy mówiłem już po francusku. Gdy przyszła kolej na mnie, na pytanie skąd jestem, odpowiedziałem: – *Z Francji*. Podałem mój obozowy numer i wykonałem parę ćwiczeń udowadniając, że jestem silny i na pewno moja praca przy porządkowaniu zgłiszczy w getcie będzie przydatna. Nie wiem jakim cudem, ale uwierzyli mi we wszystko. Garstka więźniów z Brzezinki wyjechała pociągiem w stronę Warszawy. Nie mogłem uwierzyć w moje szczęście.

## Warszawa

Gdy wysiedliśmy z wagonów zobaczyłem przygnębiający widok zniszczonej Warszawy. To był obraz daleko odbiegający od tego, jak sobie wyobrażałem stolicę, z jej pięknymi zabytkami, kamienicami, pomnikami. Zobaczyłem tylko gruz. Od razu rozkazano nam wziąć się do roboty.

Musieliśmy doprowadzić do porządku teren getta. Praca nie była łatwa. Niemcy pilnowali nas tak, jak w obozie koncentracyjnym. Nie można było sobie pozwolić na żaden nieostrożny ruch. Po jakimś czasie udało mi się dostać pracę w kuchni. Wiedziałem, że dzięki temu uda mi się przeżyć. Po pierwsze musiałem przybrać trochę na wadze, ponieważ po Brzezince zostały ze mnie tylko skóra i kości. Gotując dla esesmanów mogłem czasem mieć dostęp do lepszych resztek jedzenia. Poza tym z czasem nabrano do mnie zaufania i mogłem zacząć wychodzić na aryjską stronę, by robić zakupy spożywcze. Zawsze chodzili za mną esesmani, którzy za jakiegokolwiek pochopne posunięcie mogli mnie zabić. Staralem się pilnować. Któregoś dnia, na początku 1944 roku, kupowałem chleb w sklepie. Sprzedawca po kryjomu spytał mnie skąd jestem i co robię. Po cichu mu odpowiedziałem, że jestem Żydem i pracuję w getcie. Po chwili już musiałem wychodzić, ponieważ zniecierpliwieni esesmani zaczęli się nam podejrzliwie przyglądać. Dwa tygodnie później ponownie spotkałem tego człowieka. W ukryciu podał mi coś ciężkiego zawiniętego w ścierkę i powiedział, że niedługo mi się to przyda. Schowałem zawiniątko do koszyka, w którym miałem inne zakupy do kuchni: kapustę i chleb. Kiedy wróciłem do getta, szybko schowałem zawiniątko do kuchennej spiżarni, żeby nikt go nie zobaczył. Cały dzień zastanawiałem się nad tym, co może być ukryte w tej niewielkiej paczuszce. Moja ciekawość była ogromna, ale musiałem być ostrożny. Dopiero wieczorem, po kolacji esesmanów, kiedy skończyłem myć naczynia i w kuchni nie było już nikogo, odważyłem się pójść do spiżarni i sprawdzić, co znajdowało się w tym pakunku. Myślałem, że zemdleję ze strachu, kiedy zobaczyłem, że w ściereczkę zawinięty był pistolet. Złał mnie zimny pot, gdy pomyślałem sobie, że któryś z esesmanów mógłby mnie w tej chwili zobaczyć. Szybko zawinąłem go z powrotem w ścierkę i schowałem jeszcze głębiej. Wróciłem do kuchni i zacząłem

wycierać naczynia, żeby uspokoić bicie serca. Zrozumiałem, że szykuje się powstanie. W momencie, który będzie odpowiedni, będę mógł strzelać do Niemców. Myśl ta dodała mi odwagi. Już wtedy wiedziałem, że moi rodzice i młodsze rodzeństwo zostało zagazowane w Oświęcimiu. Nie miałem dokąd wracać, nie miałem domu ani rodziny.

Przyłączyłem się do Armii Krajowej. W dniu, kiedy wybuchło Powstanie Warszawskie, nie zahałem się użyć broni. Połączyłem się z innymi Polakami i walczyliśmy, jak tylko potrafiliśmy. Mieliśmy zapewnioną amunicję na tydzień, a walczyliśmy ostatkiem sił aż do października. Chowaliśmy się w kanałach. Niemcy czasem zamykali wejścia do kanałów i wrzucali do środka bomby. Tak zginęło wielu moich znajomych. My ukrywaliśmy się w bunkrze przez kilkanaście tygodni. Czekaliśmy na pomoc od Rosjan, ale oni w ogóle nam nie pomogli. Czekali, aż wszyscy się wykrwawią... Ja przeżyłem, nie wiem jakim cudem. Na ulicach leżały setki zabitych ludzi, nie tylko żołnierzy, ale także cywilów. To był okropny widok, wszędzie było pełno krwi...

Przeżyłem obóz koncentracyjny i Powstanie Warszawskie. Niewiele jest osób, którym się to udało. Wiem, że to nie jest moja zasługa. Jest to pewnego rodzaju dar. Czuję odpowiedzialność za to, by przekazać jak największej ilości ludzi okrucieństwo wojny i Holokaustu. Nie mogę pozwolić, by kolejne pokolenia o tym zapomniały.





Dawid Fajersztejn (pierwszy z lewej) w bunkrze podczas Powstania Warszawskiego, 1944.

## ALICJA CIĘCIWA

Alicja Cięciwa urodziła się 6 kwietnia 1931 roku w Borysławiu. Córka Władysława Cięciwy (1902-1966) i Janiny Kimler (1910-1988). W Chile mieszka od 1949 roku. Przyłynęła z Niemiec statkiem „General Black”. Dwukrotnie zamężna. Matka dwojga dzieci z pierwszego małżeństwa: Alicia i Guillermo de la Parra.



## ALICJA CIĘCIWA

*Pamiętam, kiedy pierwszy raz zadzwoniłam do Alicji Cięciwy, prosząc o spotkanie. Wyraziła swoje zainteresowanie, lecz wyraźnie podkreśliła: – Ostrzegam cię z góry, że moja historia wcale nie jest ciekawa.*

*Lecz ciekawa historia to przecież nie tylko historia walk z karabinem, wielkich zwycięstw czy wielkich przegranych. Dla mnie ciekawą historią okazały się wspomnienia codziennego życia w obozie przejściowym po wojnie i podróż statkiem. Interesuje mnie historia ludzka. Historia prosta i zwykła. Losy ludzi na tle zawirowań historii: wojenna tułaczka, ciągle pakowanie walizek, zatraskiwanie drzwi, zamykanie domu na klucz. Z Borysławia do Krakowa, z Krakowa do Austrii, z obozu przejściowego do nieznanego kraju. Ciągła ucieczka i brak pewności kolejnego dnia. Takie było dzieciństwo i młodość Alicji Cięciwy. W jaki sposób wojna może ukształtować ludzki charakter? Dziś rozmawiam z osobą o twardym charakterze, mocnym uścisku dłoni i dzielnym spojrzeniu.*

### Wojna

Przyjechałam z rodzicami do Chile po wojnie, kiedy miałam siedemnaście lat.

Moja mama urodziła się w Krakowie, a tata w Bielsku. Poznali się w Borysławiu, niedaleko Przemyśla, gdzie mój tata pracował w Instytucie Geologiczno-Naftowym. Ja urodziłam się w 1931 roku w Borysławiu. W 1939 roku mojego ojca wzięli na wojnę i moja mama została ze mną sama. Kiedy weszli Rosjanie do Polski, mój tata został poinformowany, że jest

na liście osób, które mają zostać wywiezione na Sybir, ponieważ kiedyś i gdzieś powiedział coś złego na komunistów. Tego samego dnia, kiedy się o tym dowiedzieliśmy, rodzice spakowali walizkę, zamknęli dom na klucz i wyruszyliśmy na zachód, w stronę Krakowa zajętego przez Niemcy, gdzie moi dziadkowie mieli ziemię. Pamiętam jak dzisiaj, że staliśmy w ogonku dwa tygodnie, żeby dojść do komisji. Odrzucili moich rodziców parę razy. Przez ten czas spaliśmy na ziemi, jedzenia nie było. Mama miała trochę biżuterii, więc wymieniała ją po trochu w zamian za chleb dla nas. Udało nam się przejść dopiero po dwóch tygodniach. Przechodziło się przez most. Do połowy mostu stali Rosjanie z karabinami, a od drugiej połowy mostu przyjmowali nas Niemcy. Niemcy naturalnie chcieli pokazać, że są tak odrębni kulturowo od Rosjan, że wszystkim kobietom pomagali przenosić tobołki (to były tobołki, a nie walizki, bo jak kogoś widzieli na ulicy z walizką, od razu go zamykali).

Pojechaliśmy do moich dziadków, rodziców mojej mamy. Pamiętam, że wysiadłam z pociągu o jedną stację wcześniej niż moi rodzice, przed Bochnią. Miałam wtedy dziewięć lat. Zawsze byłam bardzo samodzielna i robiłam, co chciałam. Wysiadłam i poszłam do domu dziadków, jak gdyby nigdy nic. Moi dziadkowie nie wiedzieli, co się z nami dzieje. Moja babka robiła wtedy masło, a gdy mnie zobaczyła, krzyknęła do dziadka:

– *Ala! Ala idzie!*

Na to dziadek:

– *Czyś ty zwariowała, skąd Ala by się się tu wzięła?*

Podeszłam do nich bliżej, wyściskali mnie i pytają:

– *Co się stało z twoimi rodzicami? Żyją?*

– *Żyją, zaraz przyjadą.*

Niedługo potem przyjechali moi rodzice. To był rok 1940. Zamieszkaliśmy z moimi dziadkami. Tata dostał pracę w jakimś baraku, gdzie obrabiali drzewo, moja mama zosta-

ła w domu. Po paru miesiącach tatę zabrali do Niemiec na przymusowe roboty. I znów zostałam sama z mamą. Wrócił z robót po roku, ponieważ dostał krwotoku płuc. To był czas, kiedy Niemcy zaczęły już przegrywać i mojego tatę wzięli do kopania okopów, by bronić się przed Rosją.

## Obóz przejściowy

Z Krakowa po raz drugi Niemcy zabrali ojca do obozu pracy w Austrii, gdzie musiał pracować w fabryce części do motorów i samolotów. Kiedy Rosjanie zaczęli się coraz bardziej zbliżać do Krakowa, mama postanowiła pojechać ze mną do ojca, do Austrii. Znowu spakowała tobołek i wyjechałyśmy. Końca wojny doczekaliśmy wszyscy w Austrii, gdzie pracował ojciec. Skończyła się wojna, jedzenia brakowało, wstawało się o drugiej, trzeciej nad ranem, szło się do ogonka, żeby kupić kalafior albo coś innego. Przeważnie posyłali mnie, bo ja byłam ta, co wszędzie weszła, wszystko załatwiła. Po wojnie wszyscy ci, którzy pracowali dla Niemców, znaleźli się w obozach przejściowych. I w takim obozie byliśmy od 1945 do 1948 roku.

To był obóz amerykańskiej organizacji UNRRA<sup>[1]</sup>. Jedliśmy tam amerykańskie jedzenie. Ale zanim zaczęto nam je rozdawać, żywił się tylko zupą z kartofli i kalarepy. Stały tam baraki wojska niemieckiego, do których po zakończeniu wojny Amerykanie ściągnęli wszystkich emigrantów. Byli tam Włosi, Francuzi, Ukraińcy, Węgrzy, Litwini, Łoty-

---

<sup>1</sup> *United Nations Relief and Rehabilitation Administration (UNRRA)* – Administracja Narodów Zjednoczonych do Spraw Pomocy i Odbudowy – organizacja utworzona przez Narody Zjednoczone w 1943 roku w Waszyngtonie w celu udzielenia pomocy obszarom wyzwolonym w Europie oraz Azji po zakończeniu II wojny światowej. Ok 70% świadczeń na rzecz UNRRA pochodziło z USA. Największymi odbiorcami były: Chiny, Polska, Włochy, Jugosławia.

sze. Jedna wielka mieszanka. Czuliśmy się jak w koszarach. Zostaliśmy posegregowani według narodowości. Każda rodzina miała swój mały pokój, w którym była kuchenka, każdy miał swoje łóżko. Łazienki były jak w wojsku – wspólne łaźnie dla wielu rodzin. Jedzenie robiono w kotłach. O godzinie dwunastej był obiad, każdy szedł z menażką, ustawiał się w kolejce, dostawał porcję, wracał z menażką do swojego pokoju i tam zjadał posiłek. Trzeba było kombinować: nie wolno było być ani pierwszym w tym ogonku (bo na początku dawali samą wodę), ani ostatnim, żeby nie zabrakło jedzenia. Kto chciał pracować, mógł pracować, a kto nie chciał, nie musiał, bo jedzenie było zapewnione dla każdego. Jedzenie gratis i mieszkanie gratis. Ale mój tata otworzył pralnię i farbiarnię, dlatego zarabiał trochę pieniędzy i było nam lżej. Farbowano się tam mundury amerykańskie i niemieckie. Brakowało wszystkiego, więc ludzie przynosili stare żołnierskie mundury i robiło się z nich bardzo ładne płaszcze, marynarki...

Kiedy skończyła się wojna, można było już coś kupić. Z tych koszar można było wyjść na miasto. Otworzono szkoły polskie, działało harcerstwo, w którym byłam przez jakiś czas drużynową, założyli nawet polską kaplicę. Ja się uczyłam, zrobiłam czwartą gimnazjalną...

Po jakimś czasie można było wracać do Polski albo zapisać się na listę, by wyjechać z Europy. Mogliśmy się zapisać, gdzie chcieliśmy. Dostaliśmy propozycję wyjazdu do Brazylii, Argentyny lub Chile. A myśmy chcieli pojechać do Stanów Zjednoczonych, ponieważ tam mieszkała nasza rodzina. Pragnęliśmy jak najszybciej wyjechać z tego obozu. Bo to życie obozowe było okropne: zbiorowisko ludzi, którzy przeważnie byli wywiezieni na roboty przymusowe, ludzie samotni, zdruzgotani po wojnie... Miałam koleżanki w moim wieku, które zostały wywiezione do obozu po Powstaniu Warszawskim, w którym zostali zabici ich rodzice. Obydwie

wróciły do Polski, skąd pisały mi listy, żebym wracała do kraju, że będą mogła dalej studiować. Ale moi rodzice bali się komunizmu, chcieli jak najdalej i jak najszybciej wyjechać, żeby nie wrócić do komunistycznej Polski. O krajach Ameryki Południowej nikt nic nie wiedział, ze Stanów przynajmniej mieliśmy informacje... Mówiono, że jak ktoś chciał pracować w Stanach, to zawsze udawało mu się wyjść na swoje. Zresztą było tam już dużo Polaków, można było czuć się jak w domu. Natomiast, kiedy przyjechaliśmy do Chile, okazało się, że była tu zupełnie inna kultura, inny świat. Dlaczego Chile, a nie Brazylia czy Argentyna? Każdy zapisywał się do jednej ambasady, do drugiej, do trzeciej... do wszystkich możliwych ambasad. Pierwsza komisja, która nas przyjęła, była z Chile. Przyjęli nas natychmiast, ponieważ byliśmy młodzi i zdrowi. Nie zastanawiając się wiele, zgodziliśmy się na wyjazd do Chile. Myśleliśmy, że później stamtąd uda nam się wyemigrować do Stanów Zjednoczonych.

Rodzice byli jeszcze młodzi, ja miałam siedemnaście lat i jeszcze był z nami Julek Chrzanowski – chłopak, którego wywieźli z Krakowa na przymusowe roboty do Niemiec. Przylepił się do nas, bo miał może fantazję, że ja kiedyś popatrzę na niego... ale nic z tego nie wyszło. Nigdy nie mówił o swojej rodzinie. Był dla mnie jak starszy brat. Ja w międzyczasie w obozie zrobiłam kurs pielęgniarstwa, Julek pracował jako mechanik, mój ojciec też pracował. Spodobaliśmy się Chilijczykom: czworo ludzi zdolnych do pracy i w dodatku zdrowych. Tak wyglądała ta komisja.

## **Podróż**

Pojechaliśmy najpierw do Hamburga. Tam wsiedliśmy na amerykański statek „General Black”, który podczas wojny przewoził wojsko, a po wojnie zaczął przewozić emigrantów. W obozie przez trzy lata był głód, bo jedzenia nie



zawsze starczało dla wszystkich, a tu naraz na statku zobaczyliśmy amerykańskie jedzenie, biały chleb – ile kto chciał, mógł brać... I ludzie dostali szału. Nabierali i chowali do kieszeni, żeby przypadkiem nie zabrakło następnego dnia. Kapitan musiał od razu powiedzieć:

– *Ludzie, nie chowajcie chleba, tu wam nie braknie jedzenia!*

Podróż trwała miesiąc, czas minął przyjemnie, co wieczór były potańcówki... Spaliśmy tak, jak śpi wojsko, na łózkach piętrowych, ale nie było źle. Było tam wielu ludzi różnych narodowości europejskich: Polaków, Włochów, Węgrów, Litwinów... i po kolei wysiadali w różnych portach: w Wenezueli, Kolumbii, Ekwadorze, Peru, Chile...

Na statku przez miesiąc nic nie robiliśmy, było dobre jedzenie, a poza tym co wieczór tańczyłam ze ślicznym chłopakiem, Łotyszem. Był piękny jak lalka. Lecz kiedy przyjechaliśmy do Chile, wszystko się skończyło.

Do Valparaiso dopłynęliśmy nocą. Port wyglądał przepięknie, gwiazdy na niebie, gwiazdy w oceanie, oświetlone domy na wzgórzach... Statek dobił do portu – było przepięknie, cieszyliśmy się wszyscy. Mało kto spał całą noc. Na drugi dzień zaczęliśmy przyglądać się miastu z bliska i w świetle dnia. Przestraszyliśmy się, bo zdaliśmy sobie sprawę, że cały urok miasta przysł w jednej chwili: zobaczyliśmy kartonowe chatki przylepione do gór. Ludzie tacy mali, brudni... Wrażenie było okropne. Bo trafiliśmy do portu, a wiadomo, że w porcie nie mieszka żadna arystokracja, tylko prosty lud. Wsadzili nas do pociągu. Przy torach kolejowych znajdowały się *poblaciones callampas*<sup>[2]</sup> – te prowizoryczne domki bez dachów (bo tu mało pada) – brud, smród, bose dzieci na podwórkach, w kurzu... Cały pociąg imigrantów płakał. Tak, jak się cieszyliśmy, kiedy zobaczyliśmy oświetlony nocą

---

<sup>2</sup> *Poblaciones callampas* (hiszp.) – rozległe dzielnice nędzy występujące najczęściej wokół miast, zamieszkiwane przez najbiedniejszą ludność Chile.

port w Valparaiso, tak w pociągu każdy płakał z rozpaczy.

## Stadion Narodowy

Przyjechaliśmy do Santiago, gdzie przyjęli nas na Stadion Narodowym. Byli tam Polacy, Rosjanie, Rumuni, Jugosłowianie, Łotysze... wszyscy baliśmy się komunizmu, to był nasz największy problem i główny powód, dla którego w ogóle wyjechaliśmy z Europy.

Od razu zauważyliśmy brak jakiegokolwiek organizacji, już przestali się nami opiekować Amerykanie ze Stanów Zjednoczonych. Wszystko było wielką improwizacją. Pamiętam, że na statku dobrze jedliśmy przez cały miesiąc, bo amerykańskie jedzenie było smaczne i obfite. I naraz tutaj dawali nam na tym stadionie zimne baranie mięso. Po pierwsze nie było obrusów na stołach. Widzę do dziś te miedziane talerze i łyżki, które czerniały pod wpływem wilgoci, i baranie mięso z tłuszczem – zimne, bez smaku, lepiałe się do naczyń...

Zaczęliśmy starać się o pracę. Mówili: – *Sam sobie szukaj*. A przecież nikt z nas nie mówił po hiszpańsku. Przychodził ktoś na stadion i pytał: – *Kto umie robić to albo siamto?* Bez kontraktu, bez niczego, wychodziłeś ze stadionu z tobołkiem i szukałeś pracy. Na stadionie byliśmy prawie miesiąc. Zrobili nam takie sale: kobiety miały swoje sypialnie, mężczyźni swoje. Chilijczycy przychodzili na stadion jak do cyrku albo jak do ogrodu zoologicznego, oglądali nas z zaciekawieniem... Niektórzy Polacy, którzy przyjechali wcześniej, przychodzili na stadion, żeby znaleźć innych Polaków; w ten sposób jeden drugiemu pomagał. Mój ojciec dostał pracę jako hydraulik w miejscowości Talca.

Wicerektorem Uniwersytetu Katolickiego w Santiago był ksiądz Skowronek. Przychodził często na stadion i starał się pomóc Polakom. Któregoś dnia powiedziałam mu, że mam zrobiony kurs pielęgniarski, na co on obiecał, że znaj-

dzie mi pracę w szpitalu Uniwersytetu Katolickiego. Moja mama z tatą zostali w Talce, a ja przyjechałam do Santiago do pracy i dostałam pokój u zakonnicy.

## Chile

Miałam osiemnaście lat. Dali mi dyżury nocne. Nie znając języka spędzałam noce w szpitalu, a dni - zamknięta u zakonnicy... Było mi ciężko, ale trzeba było pracować. Pamiętam, że odbywały się zebrania polskie, które poważnie organizowano na Uniwersytecie Katolickim. Ksiądz Skowronek załatwił salę. I tam, na jednym z tych spotkań, poznałam Polaków, którzy byli w Chile już od jakiegoś czasu i mieli tu fabrykę materiałów. Jej właścicielem był pan Dunaj. Któregoś razu tańczyliśmy razem krakowiaka... Powiedziałam mu wtedy:

– *Pan ma fabrykę, pan by nie przyjął mnie do pracy?*

– *No dobrze, dziecko.*

– *Mogę przyjść, żeby zobaczyć tę pracę?*

– *Przyjdź, nie ma problemu.*

Ja byłam wtedy tu w Santiago sama, rodzice w Talce, zakonnice pozwoliły mi wyjść na pół godziny – poszłam do Dunaja.

Zaproponował mi pracę w biurze. Zapytałam:

– *A ile się zarabia w biurze?*

– *A tyle.*

– *No dobrze, a ile zarabia tkacz w pana fabryce?*

– *No, ci zarabiają ze cztery razy więcej.*

U Dunaja pracował też inny Polak, Bolek, jako mechanik na maszynach. Poznał mnie tam i powiedział na ucho:

– *Niech ci Dunaj da pracę przy maszynie, ja cię nauczę ją obsługiwać.*

Poszłam więc do Dunaja i zaproponowałam mu:

– *Panie Dunaj, a jakbym się tak w przerwie obiadowej nauczyła obsługi tej maszyny, to przyjąłby mnie pan?*

– *No dobrze, przyjmę...* – powiedział niezbyt jeszcze przekonany.

Poszłam do Bolka, który wytłumaczył mi wszystko podczas przerwy obiadowej. Praca przy maszynach nie była łatwa: okropny hałas, huk... Jak człowiek nie dawał sobie rady z maszynami, to się zacinały, wyrywały nitki, cięty materiał... Człowiek chodził prawie głuchy w tej fabryce. Po obiedzie poszłam pewna siebie do Dunaja i mówię mu:

– *Panie Dunaj, już się nauczyłam.*

– *Co?* – spytał z niedowierzaniem.

– *Nauczyłam się. Niech pan sam zobaczy.*

Nie chciał mi uwierzyć i najprawdopodobniej nie chciał mi dać tej pracy, ale ja wtedy wypaliłam:

– *Panie Dunaj, ja jestem Polka i pan jest Polak. A Polak musi dotrzymać słowa. Da mi pan tę pracę czy nie?*

No i dał. Szybko zaczęłam zarabiać więcej niż mój tata. Sprowadziłam moich rodziców do Santiago, wynajęliśmy pokoje i żyliśmy sobie razem. Dużo pracowałam i wszystkie pieniądze, które zarabiałam, oddawałam mojej mamie. Zostawiałam sobie tylko na tramwaj. Taka była nasza praca w Chile. Ojciec wkrótce dostał pracę w garbarni – po znajomości, bo wtedy już znaliśmy więcej Polaków. To jest typowe: jak Polacy przyjeżdżają do obcego kraju, to z początku wszyscy się zbierają. Szukają pracy, pomagają sobie, aż każdy się ulokuje. Potem każdy zaczyna żyć własnym życiem, aż w końcu potem znów zaczynają się zbierać... na pogrzebach.

Wynajęliśmy dom, a moja mama zaczęła odnajmować jeden pokój Chilijce, żeby nam taniej wyszedł czynsz. Kobieta ta pracowała w fabryce torebek. Moja mama obserwowała jej pracę i pomyślała, że ona też zacznie produkcję torebek. Po jakimś czasie sami się dorobiliśmy własnej fabryki, kilku sklepów, maszyn, ludzi... I od tamtej pory nasze życie zupełnie się zmieniło. Pracowałam dużo i nauczyłam się (ponieważ wiele razy dali mi po głębie) – gdzie mnie mogli

oszukać, to mnie oszukali, gdzie mnie mogli nabrać, to mnie nabrali. Tutaj człowiek musi być zawsze ostrożny.

To, że my tu doszliśmy do tego, co obecnie mamy, zależało nie tyle od wykształcenia, ile od silnej woli, ciężkiej pracy. Ile osób tu przyjechało wykształconych i niczego się nie dorobili. Inni natomiast, którzy przyjechali do Chile z polskiej wsi, ciężką pracą i oszczędnością dorobili się tutaj wielkich majątków.

W międzyczasie wyszłam za mąż za Chilijczyka, inżyniera chemika. Miałam dziewiętnaście lat. Odczuwałam silnie brak korzeni, brak ojczyzny, brak pewności jutra...

Myślałam, że jak wyjdę za mąż za Chilijczyka, to gdzieś osiadę, gdzieś się zakorzenię, będę miała rodzinę... Nie byłam ani tu, ani tam – do Stanów nie wyjeżdżaliśmy, do Polski nie wracaliśmy, byłam zawieszona w pustce. Małżeństwo oznaczało dla mnie możliwość zdobycia tożsamości. Mam dwoje dzieci, mój mąż miał dużą rodzinę, ja zawsze byłam ta *gringa*<sup>3</sup>... Jeszcze przed ślubem nie mówiłam dobrze po hiszpańsku, ale zawsze bardzo dużo w Polsce czytałam. Z racji tego, że tu nie miałam polskich książek, zaczęłam czytać po hiszpańsku, i tak właśnie nauczyłam się języka. Ale nadal, po tylu latach życia w Chile, mówię poprawnie po polsku. Po prostu kocham moją ojczyznę.

---

<sup>3</sup> *Gringo*, *gringa* (hiszp.) – przymiotnikiem tym określa się w krajach Ameryki Łacińskiej osoby pochodzące przede wszystkim ze Stanów Zjednoczonych. Z czasem zaczęto używać tego określenia dla osób (często turystów) o urodzie charakterystycznej dla krajów północy.

## JÓZEF HOSIASSON

Józef Hosiasson urodził się 12 lipca 1931 roku w Warszawie. Syn Henryka Hosiassona (1896-1948) i Edwardy z domu Siekierko (1909-1983). W Chile mieszka od 1948 roku. Żonaty z Chilijką Gabrielą Saavedra Valenzuela, ojciec czworga dzieci: Janina (1958), Henryk i Filip (1959) oraz Stefan (1960).



## JÓZEF HOSIASSON

*Kosmopolita, ceniony w Chile krytyk muzyczny, miłośnik, znawca i propagator jazzu, kolekcjoner płyt, audiofil. Spotykamy się w jego „świątyni muzyki”, w której pilnie strzeże swojej kolekcji ponad ośmiu tysięcy płyt z jazzem. Na ścianach wiszą zdjęcia w towarzystwie znakomitych muzyków: Armstrong, Ellington, Hampton, Marsalis... Wkrótce pomieszczenie, w którym rozmawiamy, wypełnia się dymem z papierosów, siedzimy jak we mgle, a Józef Hosiasson ciągnie swą opowieść o Nerudzie, Edwardzie, muzyce, festiwalach jazzowych, sztuce, literaturze... Choć po polsku mówi znakomicie, co jakiś czas wtrąca słowa włoskie, hiszpańskie albo angielskie. Dla człowieka o takich horyzontach, jeden język to za mało, by w pełni się wyrazić.*

### **Warszawa i okres przedwojenny**

Urodziłem się 12 lipca 1931 roku w Warszawie. Jestem nie tylko jedynakiem, ale nawet nie miałem kuzynów. Żaden z moich stryjów czy wujów nie miał dzieci. Nazwisko Hosiasson kończyło się na mnie. Nie ma innych Hosiassonów na świecie. W Warszawie mieszkałem przy ulicy Trębackiej 4. Kiedy byłem chłopcem, spędzałem każde wakacje w posiadłości rodzinnej w Skolimowie, niedaleko Warszawy. Tam mieszkała moja babcia...

Było wielu braci Hosiasson, najstarszym z nich był mój ojciec, Henryk. Młodszym bratem mojego tatusia był Stefan, lekarz, który nie chciał mieszkać w Polsce i jak tylko skończył studia, wyjechał do Paryża. Został tam do



końca życia. Mój dziadek, którego nie poznałem, bo umarł trzy miesiące przed moim urodzeniem, wydziedziczył go, gdy Stefan zdecydował się opuścić Polskę. Dla burżuazji w tamtych czasach mieć syna lekarza to była wielka rzecz, więc skoro Stefan nie chciał zostać w Polsce, to dla mojego dziadka był to wielki cios. Kiedy mój wuj pojechał do Francji, musiał grać na skrzypcach, żeby móc opłacić nostryfikację dyplomu. To był bardzo ciekawy facet, napisał książkę, interesował się hipnozą, latał do Meksyku... Trzecią z rodzeństwa była Janina – najślynniejsza z całej rodziny, filozof, matematyk ze szkoły żydowsko-polskiej, komunistka. Najmłodszy był Ludwik, którego nazywaliśmy Lutkiem. Po wojnie mieszkał z nami w Chile.

Mój tatuś był prawnikiem i kompozytorem. Skończył studia z kompozycji muzycznej na uniwersytecie w Lipsku. Kiedy umarł jego ojciec, tatuś musiał zająć się majątkiem rodzinnym, a jego najmłodszy brat, Lutek, zawsze mu w tym pomagał. Każdego roku brali miesięczny urlop i wyjeżdżali gdzieś na wakacje. Na rok 1939 przypadała wystawa światowa w Nowym Jorku, którą organizowano co cztery lata. Tatuś i mamusia zdecydowali się pojechać do Nowego Jorku, ponieważ nigdy przedtem nie byli w Ameryce. Jednak przed podróżą przez Atlantyk, tatuś miał wysokie ciśnienie i lekarz zalecił mu, żeby pojechał do Nowego Jorku przy innej okazji, bo w tym okresie byłoby to bardzo niekorzystne dla jego zdrowia. Gdyby moi rodzice pojechali do Nowego Jorku, zostałbym w Skolimowie. A gdybym nie wyjechał z Polski, prawdopodobnie skończyłbym w Oświęcimiu, jak moja babcia.

Moi rodzice zmienili plany i zamiast do Nowego Jorku pojechali w podróż do Skandynawii. To było w czerwcu 1939 roku. Do Polski wrócili przed wybuchem wojny. Lutek wyjechał przed wybuchem i wojna go zaskoczyła w Nicei.

Proszę sobie wyobrazić, jak ktoś jedzie na wakacje, przechadza się w białych spodniach po Lazurowym Wybrzeżu... Lutek nigdy już nie wrócił do Polski... Podczas wojny pojechał z Francji do Portugalii, a z Portugalii popłynął na Kubę.

## Wyjazd do Włoch

Wyjechaliśmy z Warszawy do Włoch w marcu 1940 roku. Niewielu Polakom z żydowskim nazwiskiem udało się wyjechać z Polski w tym czasie. Włochy jeszcze nie uczestniczyły wówczas w wojnie. Tatuś załatwił dla nas wizy włoskie na papierze niemieckim wydanym przez Generalne Gubernatorstwo w Krakowie.

Wyjechaliśmy pociągiem z Warszawy do Wiednia, następnie do Tarvisio, Wenecji, Bolonii. Nie jestem pewny, ale zdaje mi się, że Stefan, który mieszkał już wtedy w Paryżu i który zawsze się spotykał z Polakami w domu u Ève Curie, córki Marii Skłodowskiej, by grać kwartety na skrzypcach, poznał tam jakąś księżniczkę z rodziny włoskiej i w ten sposób załatwił nam włoską wizę wydaną prawdopodobnie przez ambasadę w Berlinie. Nie mieliśmy innego wyjścia, nie mogliśmy gdzie indziej legalnie wyjechać podczas wojny, jedynie do Włoch Mussoliniego. Pojechaliśmy do Włoch, żeby stamtąd przedostać się do Francji, gdzie był Stefan i Lutek. Ale żeby pojechać do Francji musieliśmy dostać paszport polski, którego nie mieliśmy, ponieważ nie było w ogóle rządu polskiego. I potrzebowaliśmy wizy francuskiej, której nie mogli nam dać na niemieckim papierze, ponieważ była wojna.

Pamiętam, że byliśmy w Mediolanie, żeby dostać wizę do Francji. Jechaliśmy tramwajem do ambasady francuskiej, kiedy nagle wszystko się zatrzymało i usłyszeliśmy głos Mussoliniego rozbrzmiewający z głośników: – *Włochy przystąpiły do wojny. Wojska włoskie wkroczyły do Francji.*

To był czerwiec 1940. I w ten sposób musieliśmy zostać we Włoszech. Pojechaliśmy wtedy na wakacje do Rimini i tam wzięli tatusia i mamusię do aresztu, na jedną noc, jako obywateli nieprzyjaciół, *cittadini nemici*, bo byliśmy Polakami. Posłali nas do obozu internowania w Abruzji, w miejscowości Guardiagrele w prowincji Chieti. Mieszkaliśmy tam trzy lata. Rodzice byli internowani, lecz ja nie, ponieważ byłem dzieckiem. Tatuś musiał codziennie rano podpisywać się na liście u karabinierów<sup>[1]</sup>, a po dziewiątej wieczorem nie wolno im było chodzić po ulicy. Więc do mieszkania, w którym mieszkaliśmy, przychodził burmistrz grać z tatusem w pokera. Pamiętam też, że w Guardiagrele mój profesor w szkole był sekretarzem partii faszystowskiej.

Kiedy Włochy się poddały, pojechaliśmy do innej miejscowości, Quadri, ale tam już mieszkaliśmy jako Włosi (nie pokazywaliśmy naszych polskich papierów). Ja i mamusia dobrze mówiliśmy po włosku, natomiast tatuś udawał niemowę. Później do tej miejscowości przyjechali Niemcy i tam zostaliśmy z nimi przez całą zimę. Pamiętam, że to była sroga zima, śniegu było po dwa, trzy metry... To był czas walk pod Monte Cassino, byliśmy po niemieckiej stronie rzeki Sangro i nie wiedzieliśmy, że po drugiej stronie rzeki byli Polacy.

Miasteczko to opuściliśmy wiosną. Powiedzieliśmy, że jedziemy na krótki czas, bo gdybyśmy Niemcom powiedzieli, że opuszczamy to miasteczko, to mogliby wtedy zamordować rodzinę, u której mieszkaliśmy. Poszliśmy piechotą do Atessa. Było to główne centrum wojska angielskiego. Pamiętam, jak przechodziliśmy przez rzekę, przez pola minowe... To był marzec roku 1943. Stamtąd pojechaliśmy w 1944 do Bari, następnie do Bolonii. W Bolonii mieszkaliśmy

---

<sup>1</sup> Karabinierzy – włoska żandarmeria.

przy Via Santo Stefano. Pamiętam, że tatuś zatrudnił dla mnie profesora wiolonczeli, który uczył mnie w domu. W Bolonii mieszkałem od 1945 do 1948. To były pierwsze trzy lata normalne, gdy nie było już wojny. Chodziłem tam do *Liceo Scientifico*, które skończyłem później w Chile. Tatuś był krytykiem filmowym w „Dzienniku Żołnierza” i dzięki temu miałem bezpłatne wejście do wszystkich kin w Bolonii. Tego nie mogę zapomnieć. Mogłem dwa razy na dzień zapraszać dziewczęta do kina na pierwsze amerykańskie filmy, które właśnie zaczęły być wyświetlane we włoskich kinach.

## Przyjazd do Chile

Moja rodzina w Polsce miała fabrykę kosmetyków oraz przedstawicielstwo firm Chanel i Bourjois. Firma Chanel miała także fabrykę w Valparaiso, prowadzoną przez pewnego Szwajcara, który za sprzedaż produktów Niemcom został wpisany na czarną listę. Po wojnie nie można było utrzymywać kontaktów handlowych z Niemcami. W związku z tym mój tatuś miał przejąć ten interes po Szwajcarze. Z Kuby do Valparaiso dotarł przed nami wujek Lutek. Kiedy mieliśmy już wszystko gotowe do wyjazdu – bilety oraz wize chilijskie – tatuś zmarł na wylew. Został pochowany w Bolonii. Po śmierci tatusia zmieniliśmy bilety okrętowe na samolot. I tak mieliśmy płynąć pierwszą klasą, więc nie było dużo różnicy w cenie. Wobec tego ja z matką przylecieliśmy sami do Chile samolotem KLM. To była moja pierwsza podróż samolotem. Był rok 1948, miałem wtedy 17 lat. Pamiętam, że samolot doleciał do Montevideo, stamtąd małym okrętem popłynęliśmy do Buenos Aires. Ten statek był jak hotel: wsiedliśmy na pokład wieczorem, a nad ranem przyплыliśmy do Buenos Aires. Z portu pojechaliliśmy na lotnisko i poleciliśmy do Santiago de Chile samolotem amerykańskiej linii lotniczej Panagra.

Tu w Chile z początku też nie utrzymywałem kontaktów z młodymi Polakami, ponieważ mieszkaliśmy w Viña del Mar, gdzie nie było polskiej młodzieży. W domu mówiliśmy tylko po polsku, z wujkiem Lutkiem i z matką. U nas zbierała się cała Polonia chilijska, byli to przeważnie starsi ludzie w wieku moich rodziców. Ja zawsze byłem najmłodszy z towarzystwa.

Kiedy przyjechaliśmy do Chile zacząłem chodzić do szkoły włoskiej w Valparaiso, a potem zacząłem studiować architekturę w Santiago na *Universidad de Chile*. Studiowałem rok. Miałem wielu przyjaciół architektów i wiedziałem, co oni robią. Wszyscy byli urzędnikami państwowymi, pracowali w urzędach miasta albo w ministerstwach. Jedyni, którzy naprawdę zajmowali się architekturą i pracowali w zawodzie, byli synami architektów – chodzili do tatusia do biura i pracowali u tatusia. Pomyślałem więc, że żeby być urzędnikiem, nie potrzebuję studiować pięć lat architektury. Zacząłem pracować w SAS, skandynawskich liniach lotniczych, potem pracowałem także w Alitalia. Pod koniec lat pięćdziesiątych założyłem spółkę z pewnym Czechem, która nazywała się „Koralek y Hosiasson Limitada”. Jeździłem wówczas po całym Chile.

Moją żoną jest Chilijka. Mamy trzech synów i córkę. Najstarsza, Janina urodziła się w 1958 roku, od 1980 mieszka w Brazylii, wykłada literaturę hiszpańskojęzyczną na Uniwersytecie w São Paulo. Henryk i Filip są bliźniakami, urodzili się w 1959 roku. Henryk pracuje w banku, a Filip jest architektem. Mój najmłodszy syn, Stefan, jest pediatrą. Wszyscy grają na fortepianie.

Ja nigdy nie myślę, żeby wrócić na stałe do Polski. Tu jest moja rodzina, moi przyjaciele, mój jazz, który

stworzyłem, moje środowisko. Ja czuję się Polakiem, kiedy spotykam się z Polakami, kiedy jemy bigos, ale żeby wrócić do Polski? Nie...

Żyć w Polsce, to by było jak żyć w kraju, którego zupełnie nie znam. Tym bardziej, że nie wiem nic o teraźniejszej Polsce, o polityce. Tutaj przynajmniej wiem, kto jest kim.



## MARIA DZIEKOŃSKA

Maria Dziekońska (Mary Elizabeth Dziekoński Rüchardt) urodziła się 19 stycznia 1944 w Jaffie (Palestyna). Córka majora Mirosława Dziekońskiego (1915-1987) i Elżbiety Rüchardt (1911-1981). Przyłynęła do Chile z rodzicami statkiem „Reina del Pacifico” w 1949 roku. Dwukrotnie zamężna (Ivan Villaseca i Pedro Avalos). Matka trojga dzieci z pierwszego małżeństwa: Iván Lech (1964), Ximena (1966), Luis Eduardo (1967).





## MARIA DZIEKOŃSKA

*Kiedy ktoś pyta się Marii Dziekońskiej: – Skąd jesteś? Odpowiada: – Znikąd. Urodziła się w Palestynie, gdzie Wojsko Polskie pod dowództwem generała Andersa miało w tym czasie swoją bazę. Dla żołnierzy polskich, byłych więźniów sowieckich łagrów, była okruczem rodzinnego ciepła, którego wszystkim brakowało w wojennej zawierusze. Jako niemowlę, mieszkała z rodziną we Włoszech i Anglii. Kiedy w wieku pięciu lat przyплыnęła z rodzicami do Chile, nagle ta Polska, o której opowiadano w domu przy stole, stała się dla niej jeszcze bardziej odległa, prawie nieosiągalna. Opowieści o tym dalekim kraju, obraz zielonych pól i bocianów na dachach towarzyszyły jej przez całe życie, mimo że w Polsce spędziła zaledwie kilka tygodni, już jako dojrzała kobieta.*

### Moja mama

Moja matka nazywała się Elżbieta Maria Rūchardt, urodziła się w 1911 roku. Ja jestem z drugiego małżeństwa mojej mamy. Jej pierwszy mąż nazywał się Stanisław Gardulski i był oficerem polskim w 19 Pułku Ułanów Poznańskich. W lutym 1939 roku urodził się im syn, Marek, a we wrześniu tego samego roku Stanisław zginął na wojnie. Potem mama mieszkała przez jakiś czas we Lwowie z Mareczkiem, stamtąd wywieziono ich na dwa lata na Syberię. Zanim jednak ich wywieziono, któregoś dnia Niemcy przyszli do domu mojej matki i zaproponowali jej bezpieczny wyjazd z Polski, jeśli podpisałaby pewien dokument stwierdzający, że jest Niemką (bo moja matka rze-

czywiście była pochodzenia niemieckiego). Lecz ona wtedy odpowiedziała: – *Mój mąż był Polakiem, mój syn jest Polakiem i ja również czuję się Polką.*

## **Mój tata**

Mój tata urodził się w 1915 roku w Słucku. Podczas II wojny światowej był oficerem zawodowym, porucznikiem kawalerii w 12. Pułku Ułanów. Brał udział w walkach na Śląsku i w bitwie pod Mokrą<sup>[1]</sup>. Była to brygada kawalerii, która miała przeciwko sobie niemiecką dywizję pancerną. Polakom przez trzy dni udało się ją zatrzymać. W tej bitwie zranili mojego tatę – do końca życia miał kawałek stali w głowie. To była pamiątka po tym, jak karabin maszynowy przestrzelił mu hełm i kawałki metalu zostały mu w czaszce. Później, kiedy leżał ranny na polu bitwy, przejeżdżał koło niego jakiś czołg – jeden z tych małych z dwudziestomilimetrowym działkiem – i jeszcze przestrzelił mu klatkę piersiową. Po bitwie pod Mokrą miał dwie rany, więc wywieźli go pociągiem sanitarnym do Rumunii. Tam była ewakuacja rannych, bo Rumunia była aliantem Polski. Tam też się leczył.

Dwa razy przechodził z Rumunii do Polski, do Lwowa: przeszedł, wrócił, przeszedł, a już z powrotem, za drugim razem, capnęli go. Była zima, ciemno, śnieg... Wtedy wysłali go do więzienia, a potem na Sybir.

Tata był jeńcem wojennym przez prawie dwa lata. Kiedy wyszedł z niewoli rosyjskiej ważył jakieś 38 kilo. To było 31 grudnia 1941 roku. Tego dnia wypuścili go i wysłali do innego obozu, lecz wtedy on uciekł i złączył się z Armią Polską generała Andersa. Był w II Korpusie, w szwadronie

---

<sup>1</sup> Bitwa pod Mokrą – jedno z pierwszych starć zbrojnych Wojska Polskiego podczas II wojny światowej, które miało miejsce dnia 1 września 1939 roku w pobliżu wsi Mokra.

przybocznym.

Gdyby Niemcy nie zaatakowały Rosji, to najpewniej by go tam zakatrupili w więzieniu. Jednak z racji tego, że stało się inaczej, powstał nacisk ze strony angielskiej – Rosjanie nagle zrobili się sojusznikami i zaczęła się tworzyć Armia Polska na wygnaniu w Rosji.

Tata z generałem Andersem pokonał niebywałą trasę: Jangijul, Krasnowodzk, Persja, Iran, Irak, Egipt, Włochy...

Tata opowiadał, że kiedyś miał pióro wieczne Mont Blanc. Wtedy to była rzadkość. Któregoś dnia spotkał jakiegoś Rosjanina z wywiadu, któremu bardzo się spodobało to pióro. Zrobili więc handel: tata dał mu to pióro, a on dał mu dwadzieścia blankietów z przepustkami. Tata ołówkiem zapisywał nazwiska polskich jeńców, wysyłał polskiego żołnierza, by ten jechał i uwalniał całe rodziny z niewoli. Kiedy udało się uwolnić jedną rodzinę, tata z powrotem brał ten sam blankiet z przepustkami, zmywał z nich gumką nazwisko i pisał nowe. W ten sposób wyciągnął wiele osób, w tym także Elżbietę, swoją przyszłą żonę, a moją mamę.

## **Historia mojej mamy i mojego taty**

Historia o tym, jak poznali się moi rodzice jest niezwykła... Mój ojciec był przyjacielem brata mojej mamy – Jury Rūcharhta. Poznał ją, ponieważ Jura chciał wstąpić do wojska polskiego, ale nie mówił dobrze po polsku. Mój ojciec chodził do nich do domu dawać mu korepetycje. Elżbieta była cztery lata starsza od Mirka, więc wtedy w ogóle nie zwróciła na niego uwagi. Wkrótce wyszła za mąż i urodziła pierwsze dziecko. Wybuchła wojna, moja mama prędko owdowiała i została wywieziona na Sybir.

Po dwóch latach niewoli, w maju 1942 roku spotkała się ponownie z Mirkiem Dziekońskim, korepetytorem

i kolegą Jury z lat młodzięcych. Spotkali się w Jangijul. Matka była bardzo szczęśliwa, że nareszcie spotkała kogoś ze starych, dobrych czasów. Po kilku latach wojny było cudem zobaczyć znajomą twarz i zaufanego człowieka. Zaczęła się przyjaźń i wkrótce moi rodzice zakochali się w sobie. Pobrali się 19 grudnia 1942 roku w Quizil Ribat, w Iraku. To było całkiem romantyczne. Moja mama miała 31 lat, kiedy po raz drugi wyszła za mąż. To były czasy, kiedy człowiek nie wiedział, czy będzie żył jutro, czy może umrze. Mam parę listów, które rodzice pisali do siebie.

Ja się urodziłam w styczniu 1944 roku w Jaffie, w Palestynie. W arabskim szpitalu, w którym lekarz odbierający poród był Żydem. To było na trasie Andersa. Wszyscy żołnierze z Wojska Polskiego mnie kochali. Ja byłam maskotką, wszyscy mnie ściskali, a ja tego strasznie nie lubiłam. Tylko pamiętam, że mnie tak szczypali, przytulali...

Proszę sobie wyobrazić, co się działo w pułku, jak była mała dziewczyna. Byłam dla wszystkich żołnierzy z Armii Polskiej okrucieństwem tego, czym jest dom, rodzina, miłość... a przecież wszyscy byli wówczas spragnieni rodziny...

Moja mama w Palestynie pracowała w cenzurze angielskiej – przez jej ręce przechodziła wszelka korespondencja, która wychodziła z Palestyny za granicę. Ona знаła pięć języków: rosyjski, niemiecki, francuski, polski i angielski. Hiszpański był jej szóstym językiem. Po przyjeździe do Chile moja matka zaczęła pracować w ONZ. Ale wróć jeszcze do czasów II Korpusu...

Kiedy byłam malutka przez rok mieszkaliśmy w Cincoli, we Włoszech, a w 1946 wyjechaliśmy do Anglii, gdzie nastąpiła demobilizacja wojska. Mieszkaliśmy najpierw w obozie wojskowym w Shobdon, a później w Londynie. Korona angielska nie wiedziała co z tyłoma Polakami robić.

Gdybyśmy wrócili do Polski, wzięliby nas do więzienia. Ofiarowali nam przejazd dokądkolwiek chcielibyśmy jechać: do Stanów, Kanady, czy Argentyny. Przyjechaliśmy do Chile pierwszą klasą statkiem „Reina del Pacifico”. Rodzice zdecydowali się na ten kraj, ponieważ mieszkał tu kuzyn mojej matki, który był dyrektorem w firmie Philips.

Przyjechaliśmy do Chile 15 lutego 1949 roku. My, to znaczy mój ojciec, moja matka, syn z pierwszego małżeństwa matki – Marek Gardulski i ja. I babcia też, matka mojej matki. Wyłynęliśmy z Anglii, statek dopłynął do Valparaiso.

Pamiętam, że skończyłam pięć lat na statku. Kiedy przepływaliśmy przez Kanał Panamski, widziałam bardzo dużo biednych ludzi w morzu: osoby z pokładu rzucały im monety do wody, a oni je wyławiali. Pamiętam też, że tym samym okrętem przyłynęli Pszczółkowscy. Mam nawet do tej pory listę wszystkich pasażerów, którzy podróżowali pierwszą klasą.

Jeśli chodzi o wojnę, to u nas w domu dużo się na ten temat rozmawiało. Rodzice opowiadali, jak musieli czekać, aż kura zniesie jajko, żeby sobie zrobić jajecznicę... Ja nie chciałam słuchać tych historii. Tata napisał książkę ze swoimi wspomnieniami, ale nie mogłam do niej w ogóle zaglądać. Dopiero po piętnastu latach od jej publikacji zdołałam ją przeczytać. Już bez łez, bez bólu w żołądku. Mój młodszy syn też starał się czytać tę książkę, ale nie mógł, bo zaczynał płakać...

## Korespondencja moich rodziców

List Elżbiety Rūcharđt do Mirosława Dziekońskiego z dnia 12 grudnia 1942 roku:

*Kochany Mireczku [...] Niestety mam kłopoty. Dostałam brzydkiej wysypki. Byłam u lekarza [...] Dał mi lekarstwa i zastrzyki. Powiedział, że to jest na tle wątroby, skutki pobytu w Rosji, że leczenie potrwa dość długo. Martwię się, że panna młoda będzie opryszczona i kochany na mój widok wyrwie się sprzed ołtarza. Jeśli weźmiesz mnie tak, jak jestem, to ślub może się odbyć 19 [grudnia] rano. Skromny, bez żadnych delegacji czy szumu. [...] To nie czasy na jakieś przyjęcia. Pamiętaj jedno, że chcę Ciebie, Mirosławie, za męża, za ojca moich dzieci, za współpracownika w odbudowie tej, którą pokochałam jak prawdziwą Matkę. [...]*

List Mirosława Dziekońskiego do Elżbiety Rūcharđt z dnia (nieczytelne) grudnia 1942 roku:

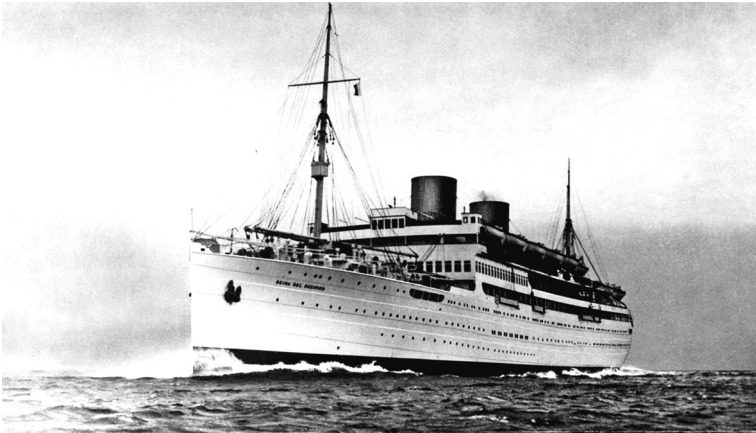
*Kochana Elżbietko, Twój list z 12.12. jest jak poezja i przypomina mi wiersz Kiplinga „If”, który znasz. Odpowiem Ci krótko. Biorę Cię za żonę tak, jak jesteś. Cieszę się, że będziesz moją towarzyszką życia, że mamy cele i wartości, które cenimy. Stoimy przed nieznanym. Ale bądźmy dobrej myśli. Przeszliśmy oboje dużo, przejdziemy dalszą drogę razem. [...]*

List Elżbiety Rūcharđt do Mirosława Dziekońskiego z dnia 26 grudnia 1943 roku:

*[...] Zamówiłam ramki do Twojej fotografii, przed nią zawsze kwiaty w srebrnej szklaneczce i czarny słońnik. [...]* Czekam,

*czekam końca tej wojny, Boże, jak czekam. [...] Pamiętaj, że wojna jest tylko „dodatkiem nadzwyczajnym”, że życie normalne to jest co innego, do czego się wraca. Znałam ludzi, którzy nie mogli znaleźć drogi powrotnej, a wtedy jest tragedia. [...] Mamy małą choinkę, świece, które przynieśli Andrzej z Małgosią. Tak się wzruszyłam, mamy tylu przyjaciół, którzy nas właściwie kochają. [...] Twój list z 12.12. przybył na Wilię. Mareczek dyktuje list twierdząc, że dość tego dowodzenia i masz wrócić do mamy i do niego. [...] Pamiętasz słowa Duff Coopera o Talleyrandzie: „To był wiek, kiedy ludzie nie brali miłości na poważnie i traktowali rozmowę jako sztukę”. Mam nadzieję, że przyjdzie wiek, kiedy wojna, wojsko itd. nie będzie więcej brane pod uwagę. [...] Że będzie normalne ciche życie, razem.*



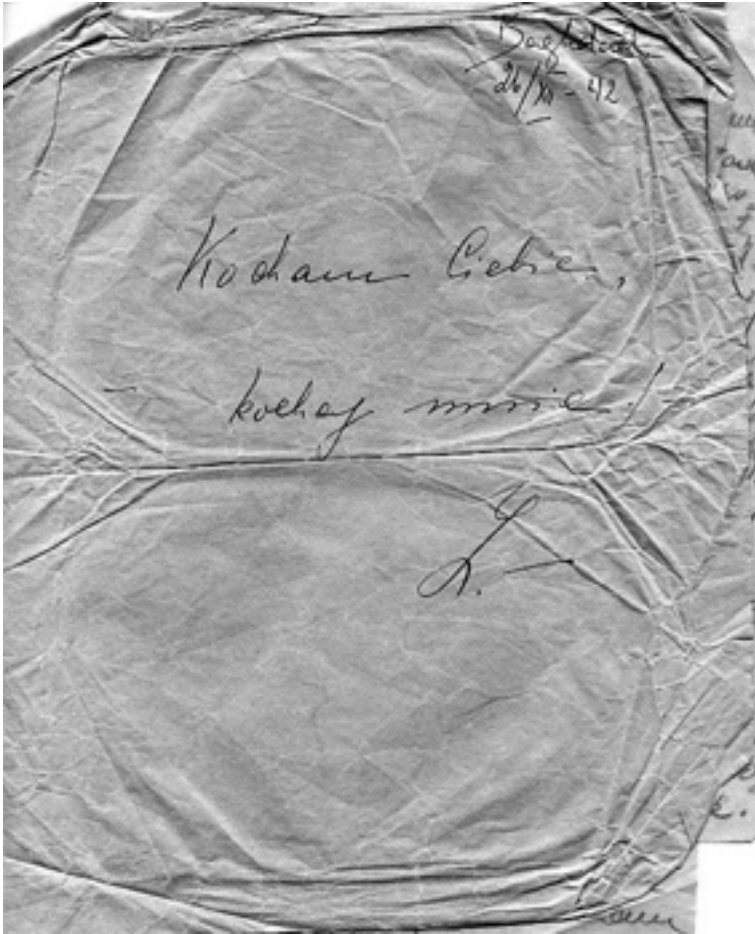


THE PACIFIC STEAM NAVIGATION CO.

M.V. "REINA DEL PACIFICO"

Statek „Reina del Pacifico”, którym Maria Dziekońska wraz z rodzicami przyłynęła do Chile w 1949 roku.





List pisany przez Elżbietę Rüchardt  
do Mirosława Dziekońskiego, Bagdad 1942.



Tekst i opracowanie: **Aleksandra Pluta**

Redakcja: **Aleksandra Pluta**

Korekta: **Emilia Przespolewska**

Projekt graficzny okładki i wnętrza :

**Camila Bascuñán Svendsen**

**Pablo Benito Solis**

Fotografie na str. 13, 27, 37, 47, 63, 85, 95, 107, 117:

**Camila Bascuñán Svendsen**

**Pablo Benito Solis**

**Joaquín Vallejo Correa**

Pozostałe fotografie i dokumenty pochodzą  
z prywatnych archiwów:

Henryka Kaczora, Jerzego Jannasza, Raula Małachowskiego,  
Jerzego Dziekońskiego, Michała Kurasza,  
Dawida Fajerszteina i Marii Dziekońskiej.

Na okładce zostało wykorzystane  
zdjęcie statku „Reina del Pacifico”  
pochodzące z prywatnego archiwum Marii Dziekońskiej.

Wydanie I

Wydawca: Ambasada RP w Chile







Aleksandra Pluta urodziła się w 1984 roku w Łodzi.  
Ukończyła studia magisterskie (Dziennikarstwo) na wydziale  
Literatury i Filozofii Uniwersytetu *La Sapienza* w Rzymie.  
Aktualnie mieszka w Santiago de Chile.